

KONTAKTY

„Przewodniczący ziomkostwa na okręg Nadrenia-Westfalia, Grimoni oświadczył: „Chcemy kontaktu z ludnością polską”. Przewodniczący dodał, że kierownictwo ziomkostwa na szczeblu federalnym nosi się z zamiarem odbycia sesji w Olsztynie na Prusach wschodnich”. (DIE WELT).

OCENA SOCJALISTÓW

„Od pół wieku partie socjalistyczne stają wobec przeszkody w postaci problemu narodu i nie potrafią pogodzić go ze swoją doktryną. Jedne z tych partii jak brytyjska lub skandynawskie zastosowały rozwiązanie empiryczne: realizują one reformy społeczne w ramach narodowych nie troszcząc się zbytnio o stary internationalizm proletariacki. Inne jednak posunęły się dalej: stawiając na piedestale to, co przedtem przekreśliły, czynią one z narodu, którego znaczenie poprzednio odrzuciły, wartość najwyższą, podstawowe kryterium oceny. Kamień węgielny nowej doktryny; w ten sposób po Mussolinim Henri de Man i Marcek Deat przekroczyli granicę dzielącą socjalizm narodowy od narodowego socjalizmu”. (LE MONDE).

NIEMCY

„Od czasu Fryderyka II przynajmniej, nigdy nie było takiego rządu niemieckiego, który by dotrzymał słowa. Niemcy są jedynym krajem, gdzie nawet najwięksi filozofowie, tacy jak Fichte i Hegel, utrzymywali, że wierność danemu słowu nie obowiązuje w stosunkach między państwami, ale tylko w stosunkach między jednostkami”. (Prof. Bernard Laverne w L'ANNEE POLITIQUE ET ECONOMIQUE).

MYDŁO

„W umowie podpisanej w Avellino między właścicielką Soriano a chłopem Russo, zawarte jest postanowienie, iż zbiory dzielone będą na półowę mimo, że właścicielka wydzierżawiła gołe grunty. Jest to jeden z licznych kontraktów o „fałszywej” dzierżawie, pozwalających właścicielowi zagarnąć połowę zbiorów, mimo że nie wyłożył on ani grosza kapitału. Ponadto rodzina Russo zobowiązana jest do wykonywania „wszystkich usług, które mogą być konieczne” oraz do „bezpłatnego prania bielizny”. „Dobra” właścicielka dostarczy mydła”. (Z relacji rzymskiego korespondenta PAP. Vivianiego).

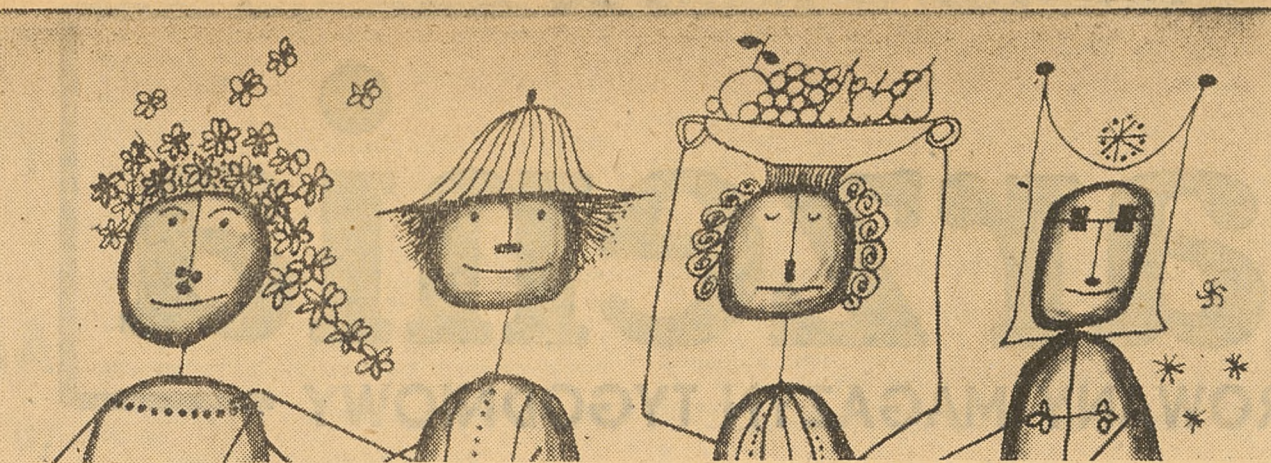
BOGACI I BIEDNI

„Podczas gdy nasi biedni są biedniejsi niż w jakimkolwiek innym kraju, nasi bogaccy są równie bogatymi, jeżeli nawet nie bogatszymi, niż gdziekolwiek”. (PUEBLO — madyrski dziennik związkowy).

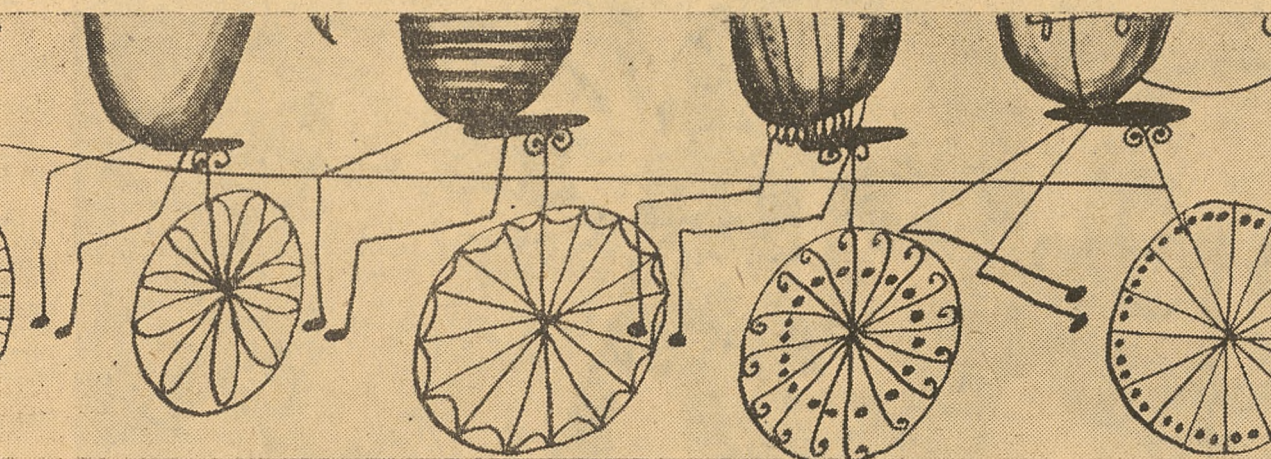
REAKCJE

„Nie ma kawiarni w świecie arabskim, w której by audycje radia egipskiego nie były bez przerwy nadawane. We wszystkich taksówkach w Bagdadzie jak i w Damaszku odbiorniki radiowe ustawione są na Kafr wywołując często tak gwałtowne reakcje u kierowców, że pasażerowie i piesi często z tego powodu padają ofiarą wypadku drogowego”. (Z audycji radia francuskiego).

Z D E
R Z E
N I A



ST. LEM: Byłem za granicą



Ale nie bójcie się: nie będę o niej pisał. Ani słowa o luksusach, autach, skuterach, lodówkach, o nylonowym życiu. Temat to banalny, oklepany, i co ważniejsze, niesmaczny. Gdziekolwiek rzucić okiem na tygodnik literacki, pismo dla wieśniaków, czy kwartalnik świetlicowy, wszędzie tylko korespondenci donoszą, co zjedli na obiad, jakiej wielkości jest sznycel we Wiedniu, wiele kosztuje para majtek. I po co się drażnić, jak mawia pewien mój znajomy. Zagranica — to już nieciekawo. Ciekawo są dwie inne rzeczy, którym pragnąłbym poświęcić kilka uwag: nasz kraj, oglądany oczami, przemysłowymi pobytami na obczyźnie, oraz jego dumny przedstawiciel, zwawo działający w europejskich stolicach dla wspólnego naszego dobra.

Zaczniemy od końca. Kilka polskich delegacji w hotelu, jacyś handlowcy, filmowcy, przedstawiciele czegoś tam dla nawiazania jakichś tam kontaktów, urzędnicy ministerstwa. Przyjechali w straszliwym upałe, zzieleni, czerwoni, umęczeni. Otwierają walizki, rozkładają rzeczy po półkach, krztuszą się po zagranicznemu do telefonu, po czym startują. Wieczorem ma być konferencja, posiedzenie, podpisanie umowy, przeprowadzenie rokowań. Może siedzą więc w hotelu nad swymi teczkami, papierami, przeglądają, rozważają, pertraktują między sobą, uzgadniają stanowiska? Śmieszne rzeczy! Wszyscy, starcy i młodzi, mężczyźni i kobiety (dzieci w delegacjach nie ma) wybiegli na miasto. Gnają zzieleni, rzucają się na wystawy, jakby chcieli szkło przebieść głową, mamrocą coś pod nosem, wystawiają palce, liczą na nich, gryzą kołki, macają się nerwowo po kieszeniach, liczą, rachują, kalkulują, w potwornym słońcu, na opustoszałych ulicach pedza jak komety, żaden sklep dla nich za odległy, żadna szansa nazbyt ryzykowna, wpadają do hotelu, spotykają się w hallu, nerwowo mamrocą, wymieniają uwagi: diety — tyle. Tam, za rogiem, są bućki po tyle. Może by się dało jeszcze coś z rachunku hotelowego urwać? Buchalterzy, magistry, reżyserowie, aktorzy, fachowcy, wybiłni spece walą pod oknem w numerze hotelowym na podłogę paczki, pakunczki, szelest grubych pakunkowych papierów, upstrzonych zagranicznymi nazwami firm przegania im zmysłowy dreszcz po grzbiecie. Na pół godziny jeszcze przed spotkaniem z zagraniczną stroną, delegacja, przedstawicielstwem, krąży po peryferiach (tam taniej! nie kupować w centrum!). Nareszcie muszą wystąpić jako reprezentanci Polski: nie mają do tego głowy, któż by im się dziwił! Na konferencji robią wrażenie ostatnich idiotów; odpowiadają trzy po trzy, zamysławiają się, wbijają oczy w sufit. Czy starczy jeszcze na ten cudny kompiecik, z tego drugiego okna, tam, na tej wielkiej ulicy? W kraju dbali jeszcze o nozory; tu spadły ostatnie zasłony, nikt się przed nikim nawet nie kryje, rodacy, krajanie kochani,

wiemy przecież, o co chodzi, po co żeśmy tu przyjechali, czemu uzasadniało się tak wszechstronnie konieczność wyjazdu, osobistego kontaktu zagranicznego, dla dobra, dla rozwoju, dla większej chwały i rozkwitu Ojczyzny! Zdumiewające, że mimo wszystko, czasem jeszcze w ogóle coś załatwia. NIE DLA SIEBIE, NIE DLA ŻONY, NIE DLA DZIWI. Mimochodem, bokiem, w przelocie byle jak, ale jednak O, cóż za wszechstronność, jaki altruizm, jakie poczucie obowiązku! Potem, gdy zbliża się poczyna termin wyjazdu, obejmuje wszystkich nerwowo gorączka. Jak tam na ele? Co Marlon mów? Boże! Do portfelu zaglądali? A gacie, gacie jakie? Może w brudną bieliznę? Stary chwyt! Na piersiach, tu, albo do trenszkotu, co? Nie wlezie! No, nieszczęście! Przez trzy dni upychają przekładają, kryją, chowają, wymyślają genialne sceny, całą dramaturgię przejścia granicznego punktu kontroli: „zemdieje. Albo może trumna. Albo — w wygodce? Nie można? W poduszce, w sleepingu, co? Maszynkę do prania rozebrać, i na agrafkach w nogawce. W spodniach. Będę kulał, no to co, czy nie mogę być chromy?

Śmiech pusty zbiera, gdy na to patrzeć wszystko, a potem litość i trwoga. Nie o nich, o tych zagonionych, nieszczęśliwych niewolników własnych marzeń — o kraj, który takich, i tylko, tylko, tylko takich ludzi wysyła w sprawach ważnych, decydujących o rozwoju przemysłu, o przyszłej współpracy filmowej, bo ja wiem w końcu, o czym! Wyobraźcie sobie: wojna między dwoma państwami, sztab główny, i generał, marszałek, który powiada tak: Główne uderzenie przeprowadzimy przez Belgie, w stronę morza, zawiadźmy o Antwerp, potem flanki się zemkną i prosto do Kopenhagi. Dlaczego? No, dlatego, bo w Belgii pokazali się te nowe futerka, wiecie, a w Antwerpii są stare maszyny za grosze — tanie, jak barszcz!

Operetka? Idiotyczny kawał? No, ale gdyby to był rodak, ten strasny? Co? Absurdalne dowcipy to niezła rzecz, szalenie je lubię, ale kiedy absurd staje się normą postępowania, nieomal racja stanu — zgroza ogarnia człowieka. I tyle choć ulgi, że o tym pisać można. Bocheński zaczął w Przeglądzie Kulturalnym, właśnie w taki sposób, ale to i za mało jeszcze, i niebezpieczeństwo strasne ściągnął sobie na głowę: tylko patrzeć, jak go powracający z zagranicy delegowani służbowo po cichu zatłamszą.

Część druga: kraj po powrocie. No, więc to jest coś absolutnie jedyne — od bieguna do bieguna! Zachód, Wschód, Północ, Południe, wszystko w uścisku roztopiającego umysły lata, gazeli tyle, że o upałach pisać, prasa literacka szeptem gdzieś kwili, sezon ogródkowy, milczenie, pustka w miastach, żar i ciżba.

W Warszawie od razu dostałem w głowę porcją nieczytanych tygod-

ników literackich, za jeden tydzień, wagi ok. 1.4 kila. Panie Święty! Było to w Związku Literatów; czytałem, i tchu mi zaczynało brakować. Tu się bija dwaj — polemika, drzazgi leca. Wczorzkowski, proszę, objechał Szlendar Młodych w Przeglądzie: Ujęło się Życie Warszawy i Nowa Kultura; listy, sprostowania, „Do Redaktora Naczelnego”, tam znów krytyki jakieś gwałtowne, pionowe, tu Kott ostrza intelektualne wbiła, tam się hura na Camusa rzucił, dotykając, emokając, pisząc, krzycząc, a wszystko na kolanach; ówde sześć stron abstrakcyjnych obrazków, rysunków, cztery wystawy, dwie premiery, kłótnia, dyskusja, ogniste sprzeczki, w głowie się mąci, serce ustaje, upał zmysły mroczy a ta prasa polska jak ulani pod Somosierra w ataku, wciąż tylko w ataku z lancami wystawionymi, i galop, galop i kolumny druku, i kobyły rozważań, i 70, 60 000 nakładu pism literackich... i ktoś to czyta? I są tacy bohaterowie? W tym upale, w tym kraju, gdy ludzie jak robaczki się do pociągów przez okna toalet wczelgują, byle nad morze pojechać — a w zacisznym lokalu Literatów na Krakowskim Przedmieściu jeden z bohaterów Wielkiej Draki, młodzień, błądy, posępny, uczony, w odzieniu, przedstawiającym skrzyżowanie czarnej pidżamy, huzarskiego munduru i nylonowego sznurowadła, gra w szachy z krakowskim kolegą, obmyślając nowe ciosy szatańskie, nowe artykuły, nowe systemy filozoficzne.

O biedni, naiwni, niemadrzy! I wy zagranicę wyjeżdżacie? Dóbr, wartoś szukać — gdy one tu, pod nosem tkwią. Jedyne, z niczym nie porównywalne na całym świecie, te autentyczne wartości, prawdziwa, szczerza, husarska pasia walk, dyskusji, żarów młodocianych, gdy tylko tu jeszcze na tym wypalonym przez apokaliptyczne lato globie egzystują faceti, którzy biorą wszystko tak absolutnie, tak śmiertelnie na serio, którzy zalewając się potem, smarują w redakcjach olbrzymie wstępniaki, w których gromią, wywołują, zwalczają, nawołują, wyjaśniają i co tygodnia budują świat od nowa!

Ach, jakież to prężny, jaki młody, jaki żywotny kraj! Jaki dziwny, dziwny, do żadnego innego nie podobny! Jaki jedyny! A przy tym wszystkim — rwie się zagranicę, cały, tak, że gdyby wole ludziodać, to by się w jednej chwili jak te sikorki no świecie rozlecieli. Oczywiście potencjalnych podróżników, światła zbawicieli, systemoburców, czytelników prasy literackiej, łojasów, w siermiędze z MHD, z miliardowym mankiem, a w głowach zielono, zielono...

A cóż ma, patrząc, dziwiąc się tak, począć polski literat — czy płakać, czy śmiać się, podziwiać, czy kłać? Niejasna, ciemna pogmatwana sprawa, niepodobna jej rozstrzygnąć. A więc cóż — napisawszy artykułów szereg, znów wyjeżdża zagranicę, aby za Polską potęknąć.

SPOTKANIE FILOZOFÓW

Korzystając z pobytu w Krakowie grupy filozofów zagranicznych, uczestników zjazdu zorganizowanego w Warszawie przez Międzynarodowy Instytut Filozofii — przedstawiciel naszej redakcji zwrócił się do czterech wybitnych uczonych z prośbą o odpowiedź na następujące trzy pytania:

1. JAKI PROBLEM Z PUNKTU WIDZENIA FILOZOFII UWAŻA PAN ZA NAJWAŻNIEJSZY W DOBIE OBECNEJ?

2. JAKIE ZBIĘŻNOŚCI I RÓŻNICE WYSTĘPUJĄ, PANA ZDANIEM, POMIĘDZY DWOMA MYSLAMI FILOZOFICZNYMI — WSCHODNIA I ZACHODNIA?

3. JAKIE WRAŻENIA ODNIOŚŁ PAN Z POBYTU W POLSCE?

PROF. RICHARD P. MC KEON, Chicago University (USA), przewodniczący Międzynarodowego Instytutu Filozofii w Paryżu.

1. Odrębne myśli, poszczególne, różniące się od siebie szkoły myślenia, zasadniczo oddzielają od siebie społeczeństwa czy też narody. Każda z tych szkół ma swoje odrębne tradycje i swoją odrębną historię, często jej wyznawcy są przekonani o tym, że ona jedynie jest słuszną i sprawiedliwą, doskonałą i niezastąpioną. Niewątpliwie nie dojdzie jednak nigdy do tego, by wszyscy uznali jednomyślnie wyższość tej, czy innej filozofii, by przyznali jej słusność i nie to jest według mnie najważniejszą rzeczą w naszych czasach. Sądzę, że głównym problemem jest potrzeba zrozumienia stanowiska innych, potrzeba podjęcia próby w zakresie politycznym i społecznym, próby dojścia do porozumienia odnośnie do powzięcia pewnych wspólnych akcji w interesie ogółu.

Wam, Polakom, nie trudno przytoczyć tu jako przykład wspólne działania komunistów i katolików w okresie ostatnich, popaździernikowych wyborów, działanie w imię wspólnego celu, stojącego powyżej różnic dzielących obie grupy. Nasz ostatni zjazd odbywał się w Warszawie pod hasłem — Myśl i Działanie. Działanie łączy ludzi i w tym kierunku powinni iść wszystkie nasze wysiłki.

Moim osobistym problemem jest znalezienie odpowiedzi na pytanie, jaki jest związek pomiędzy poszczególnymi filozofiami podającymi pewne prawdy w różny sposób i która z tych prawd jest najbliższa prawdziwej prawdzie. Zadanie niełatwe, jeśli chce się do niego podejść uczciwie, niemniej jednak b. ciekawe.

2. Obecne problemy obu filozofii są podobne i nie widzę tu wielkich różnic. Dużym optymizmem napędzani, myśliciele, te marksieści chińscy wykazują ogromną elastyczność w interpretowaniu swojej nauki i nie są dogmatykami. Historia, jej siły, ciągną nas wszystkich razem, niezależnie od naszych różnic światopoglądowych. Jeśli potrafimy wzajemnie się zrozumieć, to przecież — siedząc w jednym wozie — będziemy w stanie ciągnąć go razem, ze wspólnym pożytkiem.

3. W Polsce, przyznam się, czuję się jak w domu. Jechałem do waszego kraju pełen ciekawości dla zmian, jakie nastąpiły po Październiku i o których tyle się mówi na Zachodzie. Odniosłem jednak najlepsze wrażenia, przekraczające nawet moje oczekiwania.

W Chicago drugim, o ile się nie mylę (po Warszawie) miastem polskim na świecie, w którym mieszka przeszło 600 tysięcy Polaków, na uniwersytecie studiuję wielu waszych rodaków. Ja sam, o ile to was ciekawi, urodziłem się w Jersey, w domu przy ulicy Tadeusza Kościuszki. Wiele rzeczy łączy mnie z waszym krajem i mam nadzieję, że obecna wizyta nie będzie ostatnią.

Prof. FUNG-YU-LAN, Uniwersytet w Pekinie (Chiny).

1. Sądzę, że filozofia i polityka są ze sobą ściśle związane. Problemem ogólnoludzkim, a więc dotyczącym

MEDYCyna

O GRUŻLICY DZIECI

WYWIAD Z DYREKTOREM
DZIECIĘCEGO OŚRODKA SANATORYJNO-
PREWENTORYJNEGO W RABCE —
DR JANEM RUDNIKIEM

P. Kiedy został zorganizowany
wiesz ośrodek?

O. Pierwszego marca 1947 powołano w Rabce zespół sanatoriów gruźliczych. Prewentoria natomiast prowadzone były przez 16 różnych przedsiębiorstw. W lutym 1954 r. zarządzeniem ministra zdrowia został powołany Dziecięcy Ośrodek Sanatoryjno-Prewentoryjny będący wyższą formą organizacyjną walki z gruźlicą dzieci.

W chwili obecnej dysponujemy pięcioma sanatoriami (każde sanatorium posiada kilka pawilonów): 1) dla dzieci wieku niemowlęcego od 0 — 3 lat, 2) przedszkolaków, 3) dzieci w wieku szkolnym, 4) sanatorium fizjochirurgiczne, 5) sanatorium readaptacyjne po gruźliczym zapaleniu mózgu i opon rdzeniowo-mózgowych.

Ponadto rozporządzamy sześcioma pawilonami prewentyjnymi. Celem prewentyjnym jest zapobieganie zakażeniu przez eliminowanie dziecka ze środowiska gruźliczego oraz kierowanie do nich dzieci po ukończonym leczeniu przeciwprątkowym lub zabiegowym.

Ilość łóżek (1000 sanatoryjnych oraz 500 prewentyjnych) jest za wysoką w stosunku do powierzchni lokalowej. Jest to jednak skutek olbrzymiego zapotrzebowania na łóżka gruźlicze w kraju.

P. A może kilka słów o metodach leczenia?

O. Do naszego ośrodka kierowane są wszystkie postaci gruźlicy dzieci z wyjątkiem gruźlicy oka. Po 3-tygodniowym okresie obserwacji, m. in. niezbędnym dla dokonania całego szeregu badań wstępnych — przydziela się dziecko do odpowiedniej grupy leczniczo-wychowawczej. Przypadki nieczynnej gruźlicy kierujemy do prewentyjów.

Przy leczeniu czynnej gruźlicy węzłowo-płucnej stosujemy leki przeciwprątkowe, z których bardzo skutecznym jest rifamidon (nikozyt). Okres leczenia trwa co najmniej 9 miesięcy, po czym przesuwamy się dziecko bądź do prewentyjów (jeżeli oczywiście cofnęły się zmiany gruźlicze) bądź do zabiegu chirurgicznego, (jeżeli nie uzyskano poprawy). Zabieg polega na resekcji tkanki płucnej. Pragnę tutaj dodać, że ilość przypadków gruźlicy dzieci leczonych chirurgicznie jest o wiele wyższa na Zachodzie. Tam wynosi ona od 8—10 proc. podczas gdy u nas tylko około 1,5 proc. Resekcja tkanki płucnej jest radykalnym usunięciem ogniska gruźliczego. Wycięte części płuc przechowujemy i prowadzimy dalsze badania laboratoryjne w celu pogłębienia naszych doświadczeń.

Tragnę tutaj nadmienić, że w przypadkach gruźlicy węzłów wysępują często powikłania, które dawniej określano m. in. jako nacieki okołowęzłowe. Tutaj potrzebne jest wziernikowanie oskrzeli w celu usunięcia odzwolonych mas serowatych zawierających również prątki Kocha tak jak i w przypadku h zmiany gruźlicy jamistej.

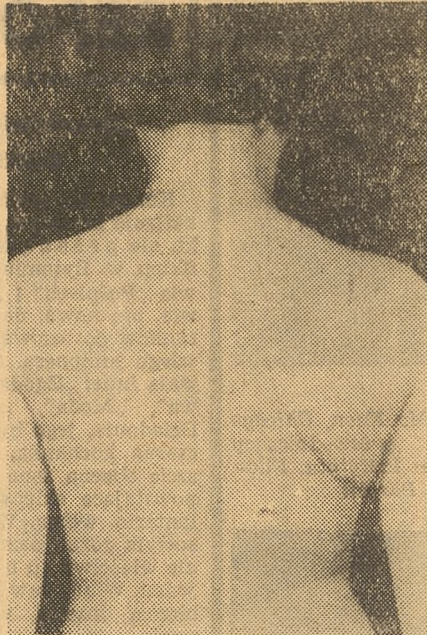
W dobie leków przeciwprątkowych przywiązuje się mniejszą wagę do klimatu, ale na przestrzeni ostatnich lat istnienia naszego ośrodka, stwierdziliśmy korzystny wpływ klimatu Rabki nawet w przypadku h zaawansowanej gruźlicy typu dorosłych.

P. Czy mógłby Pan Dyrektor wymienić osiągnięcia ośrodka zasługujące na szczególną uwagę?

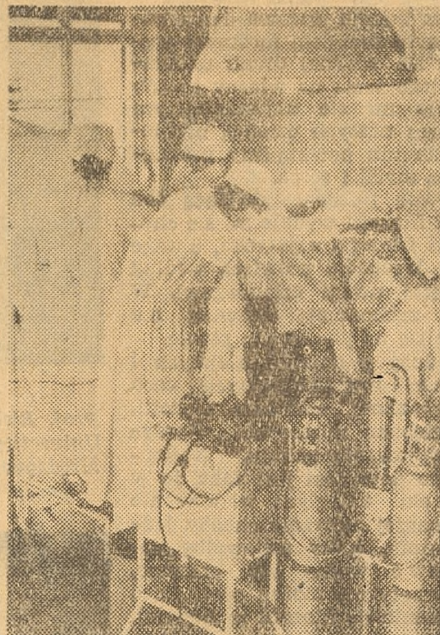
O. W chwili obecnej dysponujemy dużą biblioteką lekarską zawierającą około 3 tysięcy tomów oraz 15 fachowych czasopiśm zagranicznych. Ośrodek nasz jest jedynym w Polsce, który posiada oddział fizjochirurgii (tzn. chirurgii klatki piersiowej u dzieci). Specjalizujemy się w dziedzinie wziernikowania oskrzeli, leczenia śródoskrzelowych zmian gruźliczych oraz schorzeń śródpięcia u dzieci. O wynikach naszych prac mówił na zjeździe otolaryngologów w Waszyngtonie doc. Szpunar z Krakowa,



11-letnia dziewczynka, po resekcji tkanki płucnej.



O zabiegu świadczy blizna ciągnąca się od pleców do piersi.



W sali operacyjnej sanatorium w Rabce.

W okresie 10 lat naszego istnienia otrzymało leczenie 40 tysięcy dzieci. Większość z nich wróciła do zdrowia i normalnego życia. Zgónów zanotowaliśmy 16.

P. Jaki jest pogląd Pana na profil perspektywicznego rozwoju Rabki?

O. Opracowywane w chwili obecnej materiały naukowo-statystyczne dotyczące wyników leczenia dzieci wykazują, że nie ma żadnych przeciwwskazań do leczenia gruźlicy w Rabce.

Nie oznacza to jednak konieczności

pozostawiania lecznictwa gruźlicy w Rabce. Uznaję, że Rabka powinna zachować swój charakter uzdrowiskowy. Ale problem gruźlicy w Polsce jest nadal czołowym zagadnieniem społecznej służby zdrowia, a warunkiem ekonomicznym kraju nie pozwalającym obecnie na szeroką rozbudowę nowych sanatoriów przeciwgruźliczych. Wobec tego konieczne jest współistnienie w Rabce pionu gruźliczego i uzdrowiskowego pod warunkiem pełnej rejonizacji gruźlicy (co już jest na ukończeniu) i podniesienia poziomu sanitarno-

epidemiologicznego zakładów sanatoryjnych.

Zagadnienie koegzystencji winno być rozwiązane w całkowitym spokoju i powadze przy wykazaniu dobrej woli obydwu stron.

P. Co może nam zagwarantować zwycięską walkę z gruźlicą?

O. Przede wszystkim jak najszerzej stosowana profilaktyka polegająca m. in. na natychmiastowym izolowaniu chorych od społeczeństwa. Na skutek wciąż jeszcze niedostatecznej ilości łóżek wyleczony człowiek wraca do swego środowiska i zaraża się powtórnie.

Potrzebna jest szersza oświata sanitarna wśród społeczeństwa oraz szersze profilaktyczne. Ponadto, niezbędna jest właściwa organizacja walki z gruźlicą, polegająca na wyposażeniu każdego województwa we własne sanatorium przeciwgruźlicze i wojewódzkiego specjalistę odpowiedzialnego za swój teren.

W przeciwnym bowiem wypadku — będziemy walczyć z wiatrakami.

Rozmawiał:

MIKOŁAJ KUPLOWSKI

NAUKA

Ludowe, tradycyjne wierzenia głoszą, że zwierzęta przemawiają po raz do roku o północy dnia 24 grudnia. W starych gawędach często zdarzają się tacy, którzy tę mowę słyszeli, ba nawet rozumieli. Ale nikt jej nie umiał powtórzyć, ani praktycznie zastosować. Dopiero... Ale zaczniemy od początku.

SZCZUR PRZED MIKROFONEM

Mr. Merille był farmerem w południowych Stanach Zjednoczonych. Prowadził on dużą farmę hodowlaną. Prawdziwą plagą gospodarstwa były szczury. Grasały one bezkarnie po chlewni i po spichcach, wyjadając bezczelnie karne, a czasem atakując tuczniaki mr. Merille'a. Nie pomagały chytrze zastawiane pułapki, ani trutki, ani nawet dubeltówka właściciela farmy.

Pewnego dnia, podczas gospodarskich zajęć w chlewni, mr. Merille ze zdumieniem stwierdził, że szczury gdzieś zniknęły. Z kątów chlewni, gdzie znajdowały się krany wodociągowe, dochodził ostry pisk. Okazało się, że pisk ten był rozpaczliwym nawoływaniem szczura, który wpadł do konewki i nie mógł się z niej wydostać.

Mr. Merille był człowiekiem praktycznym. Skorzystał z tego z nagłym zniknięciem szczurzego towarzystwa. Pobiegł więc do domu po magnetofon i utrwalił na taśmie pisk uwiecznionego szczura. Przez kilka dni przeprowadzał doświadczenia z taśmą magnetofonową. Zainstalował w chlewni i w spichrze głośniki. Ilekroć szczury wychodziły na zewnątrz, puszczał w ruch magnetofon. Skutek był piorunujący. Szczury w popłochu uciekały. Po niedługim czasie wyniosły się zupełnie.

Podobne doświadczenie przeprowadził mr. Merille na zagonach z kukurydzą. Była ona stale atakowana przez stada wron. I znowu nie pomagały żadne środki stosowane dla przepłoszenia szkodników. Pewnego dnia farmer postrzelił wronę. Jej rozpaczliwe krakanie utrwalił na taśmie magnetofonowej. Potem ilekroć wrony atakowały kukurydzę, transmitował to krakanie przez głośnik. Wrony wkrótce przeminęły się w inne okolice.

Dzisiaj mr. Merille nie jest już farmerem. Założył małą fabryczkę płyt i nagrań dźwiękowych na taśmie z głosami zwierząt, płoszącymi szkodników. Są one stosowane z dużym powodzeniem.

A JEDNAK RYBY MÓWIĄ...

Utarło się przekonanie, utrwalone w przysłowiu, że ryby nie mają głosu. Nowoczesna technika obalila

CZY ZWIERZĘTA MÓWIĄ?

ten pogląd. Oczywiście usłyszeć głos ryb w wodzie to nie jest takie proste. Ale od czego mikrofony. Od dłuższego już czasu instytucje morskie w St. Zjednoczonych i w Szwecji dokonują wielu ciekawych obserwacji. Okazało się, że ryby wydają dźwięki, które są ostrzeżeniem przed niebezpieczeństwem lub wabieniem. Niektóre z nich posiadają taką częstotliwość, że nie są dostępne dla ucha ludzkiego.

Dotąd łowiło się ryby na robaka, na muchę albo po prostu do sieci. Teraz instytucje morskie pracują nad metodą polowania przy pomocy dźwięku. Po prostu membrany zainstalowane w wodzie przekazują odpowiednie drgania zarejestrowane na taśmie dźwiękowej. Ryby zwabione tym dźwiękiem suną ławicą prosto do sieci. Nie trzeba na nie polować. Same dobrowolnie wchodzi do saka.

PRZYJDZ DO MNIE, UKOCHANY

Od dawna znane są wabiki, używane przez myśliwych podczas polowania. Są to różnego rodzaju świstawki, naśladujące głosy zwierząt i ptaków, używanych przez nie zwłaszcza w okresie godów. Poslu-

giwanie się tego rodzaju instrumentem wymagało oczywiście wielkiego doświadczenia, umiejętności i znajomości przyrody.

Dzisiaj to jest niepotrzebne. Wystarczy magnetofon i głośnik. Kiedy zastosowano taśmę magnetofonową, z utrwalonymi głosami jeleni, lub tokujących ptaków, efekt był nieoczekiwany. Zwierzęta same podchodziły pod lufy strzelb myśliwskich. Głos przewodnika stada zarejestrowany na taśmie zwabiał całe stado.

Pomysłowość ludzka jest nieograniczona. Nie tylko do polowań można stosować te metody. Podczas wyścigów konnych sprytny właściciel stajni wyścigowej, którego koń w biegach miał niewielkie szanse, dopingował go tęsknym rżeniem klaczy, transmitowanym z magnetofonu w pobliżu mety. Wezwanie „przyjdź do mnie ukochany” pomogło. Koń zwyciężył.

DZWIĘKOWA MUCHOLAPKA

Muchy i komary są podczas lata nieznosną plagą. Wymyślono już wiele sposobów, celem jej zwalczania. Nieoczekiwane jednak efekty przyniosło zastosowanie dźwię-

ku. Żmudne badania nad głosem owadów, którego dźwięk leży najczęściej w sferze ultradźwięków, wykazały, że istnieją dźwięki niemal dla much i komarów, odpędzające je oraz, że istnieją dźwięki zwabiające.

Dźwięk niemy dla „ucha” tych owadów, odtwarzany przez głośnik z taśmy magnetofonowej powoduje emigrację much, w którym jest „słyszalny” dla much lub komarów. W ten sposób można je skutecznie płoszyć, tym więcej, że aparatura może działać bez przerwy, ponieważ dźwięk ten jest niesłyszalny dla człowieka.

W pszczelarstwie spróbowano zastosowania specjalnej kategorii głosu pszczoły, odtwarzanego z taśmy podczas wybierania miodu z uli. Okazało się, że niepotrzebne jest odurzanie pszczoły dymem, ponieważ zachowują się one niezwykle spokojnie i nie czynią żadnej szkody pszczelarzowi.

A więc zwierzęta mówią? Nie chodzi tu o żaden antropomorfizm. Jest rzecz pewną, że doskonale między sobą się porozumiewają. Dzięki technice człowiek wdiera się w ich tajemnice, których poznawalność leży częstokroć poza granicami ludzkich zmysłów. (k)

SPRAWY KRYMINALNE

No i wyobraźcie sobie, ponoć nie jest z tym tak źle. Podnosimy alarm, że wzrasta u nas przestępczość gospodarczą i wszelką inną, że panoszy się bandytyzm, że rabunki, włamania, zabójstwa stają się u nas istną plagą, a tymczasem, tymczasem, proszę państwa, statystyki powiadają, że wprowadzie na każdą dobę przypada u nas mniej więcej około tysiąca różnego rodzaju przestępstw, ale np. w NRF aż 4500, we Francji ponad 3 tysiące, w Anglii też coś koło tego.

Czyli, jakby z tego wynikało, jeszcze z tą naszą uczciwością i poczciwością nie jest aż tak najgorzej. Co więcej — wynikałoby, że na Zachodzie, chociaż więcej niż u nas kradną, rabują, mordują a mimo to jakoś i społeczeństwa są tam bogatsze i w gospodarce panuje większy porządek.

Dziwne. Czyżby statystyka była fałszywa? Skądże znowu. Ale za pozwoleniem. Wynika z niej, że w NRF zdarza się 4,5 raza więcej przestępstw niż u nas. To fakt. Ale i to są fakty, że kraj ów liczy sobie 2,5 raza więcej ludności niż Polska i że w statystyce mowa jest tylko o przestępstwach zarejestrowanych przez organa sprawiedliwości. Sęk właśnie w tym, że w tamtych krajach rejestruje się i wykrywa o wiele więcej przestępstw aniżeli u nas, że u nas spora ich liczba w ogóle nie dociera do wiadomości władz.

A dlaczego? Nie bez powodu i to ważnego powodu. W krajach zachodnich ciężkie pie-

niądze łoży się na rozwój takich dyscyplin naukowych jak kryminologii tj. nauki o społecznym zjawisku przestępczości i kryminalistyki czyli nauki dotyczącej metod wykrywania przestępstw, ujęcia sprawy, sposobu przesłuchiwania osób, prowadzenia obserwacji, zbierania materiałów dowodowych, ich oceny itd., itp. W służbie tych nauk działają tam uniwersyteckie instytucje kryminalistyczne, a prawie każdy z nich dysponuje obszernymi pomieszczeniami najnowocześniejszym sprzętem oraz kilkudziesięcioma pracownikami naukowymi.

Rzecz jasna, jak już powiedzieliśmy, wszystko to kosztuje, ale i opłaca się zwiększając szanse wykrycia sprawców każdego przestępstwa, a tym samym odstraszając innych od popełniania go.

A w Polsce? Dopiero z końcem 1956 r. powstała przy Uniwersytecie Warszawskim na razie jedna jedyna na cały kraj Katedra Kryminalistyki, która na całe swoje wyposażenie otrzymała dotychczas kilkaset złotych, która posiada jako laboratoryjny warsztat pracy jeden mały pokój, która poza kierownikiem ma jednego pracownika, która nie posiada żadnego prawie sprzętu.

Komentarze zbędne. Statystyka przytoczona na wstępie nie kłamie, to prawda. Mniej jest u nas przestępstw niż w innych krajach, mniej. Szkoda, że tylko tych zarejestrowanych i wykrytych. (b)

FILM

„Ostatnia walka Apacza“ — amerykański kolorowy film wg. powieści pt. „Broncho Apache“ pokazuje historię opartą na faktach autentycznych, w których główną postacią jest ostatni ze szczepu Apaczów — wojownik Massai. Ten bohater Indianin, w czasie podboju przez białych „Dzikiego Zachodu“, sam jeden przeciwstawił się oddziałom kolonizatorów. Walczyć przy tym musiał nie tylko z armią „Białych Twarzy“ lecz również ze zdradą współziomków Indian, wśród których znaleźli się ludzie za „wodę ognistą“ czy inne korzyści wysługujący się białym i sprzedający wolność.

Takim jest renegat indiański Geronimo, który chwytając Massai do niewoli — zdradając jest także ojciec jego ukochanej Santos, do którego wigwamu trafił po ucieczce z niewoli, a który go ponownie dał zać w kajdany. Lecz śmiały i odważny Massai i tym razem wyrwał się przemocy białych. Sam jeden podejmuje walkę partyzancką, a przekonany że jego ukochana Nalinle zdradziła go wraz z ojcem, chce ją zabić.

Na siejącego spustoszenie wśród białych osadników Massai czynione są zasadzki i organizują się ekspedycje karne. Dzielnego wojownika jest jednak nieuchwytny. Walczy i zwycięża wielu wrogów — pali i niszczy zagrody przeciwników.

Przekonuje się także o niewinności Nalinle, którą ma zawsze u swego boku i która dodaje mu otuchy w walce. Razem wędrują w dalekie góry, lecz wtedy właśnie, gdy chcą zacząć spokojne życie, dostają ich zemsta białych. W nierównej walce przeciwko setkom wrogów Massai rozumie, że musi ulec i zginąć. W toku walki do uszu Massai dochodzi płacz dziecka — to Nalinle dała mu spadkobiercę sławy. Ranny Massai przerywa walkę i kieruje się do swojego domostwa. Biali nie dobijają ostatniego z Apaczów. Tak pokrótce przedstawia się treść filmu. Rola Massai kreuje jeden z najpopularniejszych aktorów amerykańskich Burt Lancaster, który w roku 1947 debiutował w ciekawym filmie pt. „The Killers“ uzyskując wielki sukces artystyczny. W swoim dorobku artystycznym ma wiele filmów, z których



Bohaterski Indianin



„Trapez“ jeszcze w tym roku zobaczymy.

Nalinle — ukochaną Massai gra Jean Peters wyróżniająca się rolami również w wielu filmach. Interesujący jest szczegół, że Jean Peters studiowała równocześnie na uniwersytecie kalifornijskim, po

którego ukończeniu ma zamiar zerwać z karierą filmową i poświęcić się wykładom historii. Warto dodać, że w Ameryce mieszka obecnie niepełne 450.000 Indian, a 8 milionów obywateli USA ma indiańską krew.

Mat.

MUZYKA

W żadnym z t. zw. cywilizowanych krajów muzyka w letnich miesiącach nie zamiera. Wiadomo, że melomani chcą cały rok czegoś słuchać, a wykonawcy przez cały rok muszą z czegoś żyć. Toteż od czerwca aż do końca września estrady roją się od najsławniejszych solistów i najciekawszego repertuaru. Takich solistów i takiego repertuaru, który przyciągałby publiczność mimo upałów i pokus lata. Nie dysponując jeszcze materiałami dotyczącymi tego roku (zresztą wszystkie festiwale bywają przeważnie doroczne) przypomnijmy jak sprawa letniej muzyki wyglądała w roku 1956. Oto co melomani europejscy mogli wówczas usłyszeć:

Festiwal w Aix-de-Provence (7 lipiec — 2 sierpień), Festiwal wagnerowski w Bayreuth (24 lipiec — 25 sierpień), Maggio Musicale we Florencji (2 maj — 30 czerwiec), Festiwal w Grenadzie (20 czerwiec — 2 lipiec), Festiwal holenderski w Amsterdamie, Hadze i Scheveningen (15 czerwiec — 15 lipiec), Festiwal w Lucernie (15 sierpień — 6 września), Festiwal operowy w Monachium (10 sierpień — 9 września)... Nie wspominamy już tutaj o Berlinie, Besançon, Bordeaux, Helsinkach, Strassbourgu, Wenecji, Wiedniu, Wiesbaden i Zurychu. W których to miastach festiwale i „święta muzyczne“ odbywają się w maju, czerwcu lub wrześniu.

A jak ta sama sprawa wygląda u nas? Niestety, bardzo żałośnie. Dotychczas mogliśmy się pochwalić jedynie... dorocznymi festiwalami chopinowskimi w Dusznikach, Kiepskie to były imprezy. Kiepskie dlatego, iż właściwie nie stanowiły żadnej atrakcji, gromadząc jedynie takich solistów, których — w identycznym repertuarze można usłyszeć, jak rok dłużej, na wszystkich estradach Polskiej. Stąd też festiwale w Dusznikach, zamiast stać się imprezą ogólnokrajową, na którą przyjeżdżaliby melomani z różnych, nawet bardzo odległych miast — stały się lokalnym zestawem koncertów, budzących zainteresowanie jedynie wśród okolicznych wczasowiczów — nawet gości z Wrocławia bywa tam niewiele. W tym roku — raczej dość przypadkowo — odbędzie się w Polsce jeszcze jeden festiwal — a raczej coś w rodzaju festiwalu letniego. Otóż przygotowująca się do występów zagranicznych orkiestra Filharmonii

Co robić w lecie?

Narodowej i ćwicząca wraz z nią grupa polskich kandydatów na Konkurs im. Wieniawskiego, zjechały do Ciechocinka, gdzie dawać będą regularne koncerty dla kuracjuszy. Udział w tych koncertach zapewnił dzieli nasi soliści: Czerny-Stefańska, Hesse-Bukowska, Kędra i in.

A może koncerty w Ciechocinku dałyby się w przyszłości zmienić w doroczny festiwal? Taki z udziałem atrakcyjnych zagranicznych artystów, o świetnie przygotowanym i interesującym programie? Najwyższy czas, aby i u nas stworzyć letnią imprezę muzyczną na odpowiednim poziomie. Wiadomo, że melomani chcą cały rok czegoś słuchać, a wykonawcy przez cały rok z czegoś żyć...

W SPRAWIE FILMÓW

Niestety dokonywane obecnie zakupy filmów zagranicznych z punktu widzenia muzycznego budzą duże obawy. Straszą po naszych ekranach filmy-koszmary, jak „Puccini“ i „Traviata“, natomiast gluchą o sprowadzaniu filmów muzycznych na naprawdę wysokim poziomie. Zresztą, przepraszamy... podobno dwa z nich wejdą jednak na polskie ekrany: „Amerykanin w Paryżu“ i „Zaproszenie do tańca“ — oba z udziałem rewelacyjnego tancerza i aktora amerykańskiego, Gene Kelly. Ale to wszystko... A może warto by także pomyśleć o sprowadzeniu najwyższej jakości angielskiego filmu baletowego „Czerwone trzewiczki“, o nakręconych w USA biografiach Carusa i Melby — znakomicie opracowanych od strony wokalne, o „Carmen Jones“ — niezwykle interesującej, współczesnej i murzyńskiej adaptacji opery „Bizeta“, ze świetnymi nagraniami jego muzyki, o słynnym eksperymencie Disneya — „Fantazji“, w której (wyjątkowo w tym filmie) bardzo interesujące rysunki disneyowskie ilustrują znakomite nagrania orkiestry filadelfijskiej pod dyktando Stokowskiego... A z dziedziny leższej, proponujemy panoramiczną „Historię Glena Millera“ poprzetykaną wszystkimi najlepszymi nagraniami jego orkiestry... Filmów muzycznych, powstaje na Zachodzie mnóstwo. Wiele z nich jest naprawdę doskonałych — widocznie jednak w komisji zakupów siedzą ludzie nie mający z muzyką wiele wspólnego. A szkoda...

PSYCHOLOGIA

Trzech psychologów Uniwersytetu „Yale“ stwierdziło eksperymentalnie, jaką metodą można najlepiej i najszybciej przekonać dla swego stanowiska przeciwnika w rozmowie. Presja, groźba, przesada, potok słów nie prowadzą do niczego, wręcz przeciwnie — wystarczy nakreślić jasno i wyraźnie fakty i poprzestać na ich wymowie. Trzy studenckie grupy wysłuchały wykładu o pielęgnacji zębów. Pierwszej przedstawiono w pełnej grozie wszystkie niebezpieczeństwa, jakie przynosi z sobą gnicie zębów, ropienie szczęki, puchlizny — nie zapominając o ich zgubnym wpływie na serce, nerki czy schorzenia reumatyczne. Grupę drugą poinformowano o wiele bardziej rzeczowo, wskazując jednak na grożące niebezpieczne powikłania. Trzecia grupa wysłuchała zaledwie samej informacji, przy której nawet nie podniesiono palca. Tydzień później zbadać skutki pogadań. Okazało się, że ostrożny apel bez przesady i gróźb poskutkował bez porównania lepiej niż „prelekcje grozy“. Testy z politycznymi pytaniami dały podobne rezultaty. Czyste fakty, podane logicznie przekonywająco oddziaływały na opinię o wiele mocniej niż dzikie tyrady.

Jeszcze dokładniej badali problem profesorowie uniwersytetu nowoorskiego Busse i Norden. W ciągu 7 lat przestudiowali ponad 10.000 spraw spornych i kłótni. W wielkich firmach, bankach i domach towarowych śledzili zatargi pracowników z klientami. Obserwowali powody sporów taksówkarzy, małżonków, stron w procesach, uczestniczyli w naradach Organizacji Narodów Zjednoczonych wszędzie notując, kto i dlaczego spór rozstrzygnął na swą korzyść.

Niespodziewanie okazało się, że zawodowi mówcy jak politycy czy delegaci do Organizacji Narodów Zjednoczonych o wiele gorzej trafiali do słuchaczy niż dowiecni sprzedawcy i agenci. Powód zupełnie zrozumiały. Zawodowi mówcy parlamentarni w pierwszym rzędzie

Jak najszybciej przekonać przeciwnika

starają się „zdemaskować rzeczywiste zamiary opozycji“ natomiast czarodzieje przekonywania umieją o wiele lepiej przystosować się do mentalności rozmówcy.

Najczęstszym błędem występującym w sporach jest zranienie poczucia wartości osobistej strony przeciwnej. Gdy udaje się lepiej wiedzącemu — drugi zaraz ma kompleks, gdy mówi się szyderczo — przeciwnik reaguje z ukrytą wściekłością, gdy zarzuca się mu nieczyste zamiary, powoduje to nienawiść.

Co robić, by własne myśli padły na urodzajną glebę? Według psychologów należy je bezpośrednio lansować do podświadomości partnera rozmowy. Dopiero wtedy, gdy dotrą do niej, rozpoczyna się on nimi powodować. Do podświadomości możemy jednak dość tylko przez sugestię. Należy więc swoje argumenty u przeciwnika niejako „przemycić“. Im umiejętniej potrafimy oszczędzić i obejść jego „ja“, tego strażnika na progu podświadomości, tym większe mamy szanse, by go rzeczywście przekonać. A oto kilka praktycznych rad:

1. Pozwól drugiemu dojść do słowa, aby mógł sprecyzować swe stanowisko. Jeśli ma przerzecz, skieruj tym bardziej całą uwagę na swe argumenty. Z tego powodu powinno się go nawet prosić o powtórzenie głównych punktów. Im częściej może on przegrać „swoją płytę“, tym szybciej pozbędzie się wrogię uczuć drzemających w duszy.

2. Nie mów przedwcześnie „nie“ lecz zrób krótką pauzę i spojrzysz na niego. To da mu uczucie, że jego wywody są brane najbardziej serio. Nie zwlekaj jednak zbyt długo — to sprawia wrażenie bezradności.

3. Nie upieraj się zbyt długo, by wygrać w 100 proc. Większość ludzi chce pokazać, że oni w sporze mają jedynie i wyłącznie rację, a ich przeciwnicy myślą się we wszystkich punktach. Zamiast tego należałoby jak najszybciej znaleźć punkt, przy

którym można by ustąpić, torując drogę do pierwszego porozumienia.

4. Pozostań spokojnym i rzeczowym. Kto wali z góry prawdę i bije przy tym pięścią w stół, ten słyszy wprawdzie poklask galerii, ale przeciwnik staje się jeszcze bardziej zażarty i myśli o rewanżu.

5. Cytuj powiedzenia innych. Czarodzieje przekonywania wiedzą, jak istotny jest to moment. Sprzedający odkurzacza opowiadają o zadowoleniu innych gospodyń, szefowie reklamy cytują wypowiedzi gwiazd filmowych i znanych osobistości o ich mydle czy paście do zębów, a szukający posady nie chwali się wprost, lecz przedkłada referencje.

6. Przeciwnikowi należy zostawić możliwość zachowania twarzy. Często chciałby już ustąpić, gdyby jednocześnie nie musiał przyznać się, że nie miał racji, że głosił nieprawdę, względnie że jest głupi. Dlatego pozostaw mu otwartą furtkę („właściwie to chciałem przyznać panu rację, ale gdy dojrzelismy ten punkt, który sprawie daje całkiem inne oświetlenie...“).

SZTUKA

W warszawskiej Zachęcie otwarta została interesująca wystawa malarstwa sztalugowego Marka Żuławskiego.

Żuławski urodził się w roku 1908 w Rzymie. Po studiach w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, odbytych w latach 1926—1933, zajmuje się wraz Trepkowski projektowaniem plakatów, zdołując w ten sposób środki finansowe na wyjazd zagranicę. W roku 1935 wyrusza do Paryża a potem do Londynu gdzie od roku 1937 osiadł na stałe.

Swoje obrazy i grafiki wystawia w Londynie, Warszawie, Poznaniu, Łodzi, Edynburgu, Florencji i Belfast. Oprócz tego reprezentuje sztukę angielską w Museum of Modern Art w Nowym Jorku i na Międzynarodowej Wystawie „Les Mines, les Forges et les Arts“ w Paryżu.



POLSKI MALARZ z Londynu

Żuławski wyszedł ze szkoły profesorów Tichego i Kowarskiego i w pierwszej fazie swojej twórczości zbliżył się znacznie do kapistów. Pobyt w r. 1946 w zniszczonej Warszawie wywarł na nim duże wrażenie i spowodował zmianę w jego dalszej twórczości. Pogłębiają się pierwiastki treściowe i wzrasta ekspresja. Żuławski bierze udział w międzynarodowym konkursie na projekt pomnika „Nieznane Wzniebia Politycznego“, ogłoszonego w Ameryce.

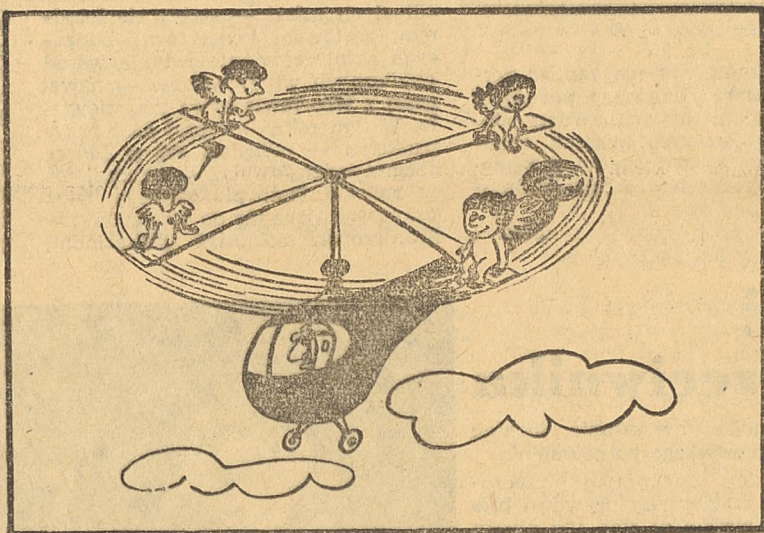
Równocześnie w jego twórczości malarzkiej dają się wyraźnie zaznaczyć wpływy Picassa z jego „ekspresjonistycznym“ okresem po Guernice i z lat II wojny światowej, kiedy w swoich dziełach łączył zdobycze fowizmu i kubizmu. Obrazy Żuławskiego przypominają nieco malarstwo grupy młodych Francuzów z Salon de la Libération (1944), których w pewnej mierze naśladowali bezpośrednio po wojnie krakowscy malarze z śro-

dowiska Kantora, Brzozowskiego i Miłkowskiego.

Oglądane w Zachęcie obrazy cechuje głęboko pojęty humanizm — głównym tematem jest człowiek, jego praca, jego tragedia i radość. Żuławski operuje formą monumentalizowaną i uproszczoną. Swoją siłę wyrazu, dynamizm osiąga artysta poprzez napięcia i kierunkowość kontrastujących ze sobą form. Szczególną uwagę zwracają wartości kolorystyczne jego obrazów. Posługuje się oszczędną gamą barw, w której przeważają szlachetne szarości, biele i czernie, gdzieś tam akcentowane bardziej intensywnym kolorem.

Oprócz malarstwa sztalugowego Żuławski jako uczeń Kowarskiego, przejął od niego zamiłowanie do dekoracji ścennych, uzyskując w tej dziedzinie duże sukcesy w Anglii.

P. K.



◆ HUMOR ◆ HUMOR ◆

Fakty -- Plotki

NIE BĘDZIE ÓSMEGO DNIA

Szumna reklama filmowców poprzedzała niemiecko-polską realizację filmu Hłaski „Ośmy dzień tygodnia”. Mówi przysłowie: „nie wolał hop — dopóki nie przeskoczysz”. Podobno pewne niedociągnięcia i nieterminowości zawinione przez naszych filmowców doprowadziły do zerwania współpracy. Nie byłoby z tego powodu wielkiej tragedii (nie jeden niezrealizowany scenariusz zagrzebano w szafach naszego kochanego filmu), gdyby nie... forsa. Jesteśmy, to znaczy nasi filmowcy winni są Soni Zieman, niedoszłej wykonawczyni głównej roli, bagatelę — 15 tysięcy dolarów. Złośliwi twierdzą że mimo to „Ośmy dzień tygodnia” należy do najtańszych niezrealizowanych filmów polskich.

BRAWO MISTRZU ARTURZE!

Jak nam donoszą znani plotkarze J. warszawscy (nazwiska nieznane redakcji) nasz najlepszy satyryk i świetny dramaturg Artur Maria Swinarski splotał wszystkim skąpym wydawnictwom i teatrom straszliwego figla. Po prostu sprzedał swoje prawa autorskie pewnemu panu w Austrii. W Czechosłowacji szła ostatnio jedna ze sztuk mistrza Artura. Czesi nie należą do rozrzućnych — wiadomo. Skwapliwie rzucili się do płacenia honorarium w walutach demokratycznych. Nagle — zjawił się w Pradze ów austriacki potentat: — Panowie powiedzcie mi zimno — ja mam wszelkie prawa do dzieł mistrza Swinarskiego, poproszę o gotóweczkę w dolarach. I po długich targach nasi pobratymcy musieli zapłacić.

SZCZYT SNOBIZMU?

Całe masy warszawskich literatów, tudzież niedobitki pisarzy prowincjonalnych udały się w celach służbowych za granicę kraju. W związku z tym za szczyt snobizmu uważa się w kołach literackich wyjazd do domu pracy twórczej „Astoria” w Zakopanem.

PIERWSZY BOHATER ATOMOWY

Takie miano należy się niewątpliwie specjalście od spraw atomowych Amerykaninowi Robertowi Burton. Unieszkodliwił mianowicie niewypał bomby atomowej zawieszony na wysokiej wieży wśród pustyni stanu Nevada. Bomba miała wybuchnąć punkt o godzinie 4-tej minut 45. Obserwatorzy daremnie czekali na mocne efekty. Burton na czele grupki kolegów, z narażeniem życia (bomba mogła lać chwilą wybuchnąć) dobrał do wieży i unieszkodliwił ten najniebezpieczniejszy niewypał świata.

HISTORIE

I NIE WÓDŹ NAS NA POKUSZENIE (V)

Mimo oporu naukowców prezydent Truman udzielił zezwolenia na budowę bomby wodorowej według planów Tellera. Kiedy 31 października 1952 Edward Teller i jego współpracownik Herb York jedli kolację w kalifornijskim miasteczku Livermore, czyniono ostatnie przygotowania na o 8.000 km oddalonej od nich wyspce Elugelab na Pacyfiku do eksplozji pierwszej bomby wodorowej, którą Teller skonstruował w ciągu ostatnich trzech lat. Próbę tę ukrywano pod nazwą „Operacja Efen”.

Następnego dnia w czasie oznaczonym na eksplozję siedział Teller w jednym z instytutów uniwersytetu kalifornijskiego przed sejsmografem. Obliczona siła eksplozji miała być tak silna, że powinna wstrząsnąć powierzchnią ziemi. Teller się nie zawiódł, wskazówka sejsmografu poruszała się gwałtownie. „Bardzo ładnie” — powiedział Teller. Tymczasem wyspka Elugelab zniknęła z powierzchni ziemi, wyrzucona w powietrze opadła na dno oceanu. Eksplozja pozostawiła po sobie na dnie oceanu krater o głębokości 60 metrów.

Zmiany geograficzne na wyspach Pacyfiku i wstrząsy, które zanotowały stacje sejsmograficzne na całym świecie, obaliły zarzuty uczonych grupy Oppenheimera, że budowa bomby wodorowej pochłonie olbrzymie wydatki i że trwać będzie przynajmniej 5 lat. Teller i jego współpracownicy szybko i prawie bez trudu zbudowali bombę.

OPPI, KOBIETY I KOMUNISCI

W atomowych kołach rządowych USA coraz bardziej teraz utwierdzała się myśl, że grupa Oppenheimera świadomie przeciwstawiała się budowie H-bomby. Do najgłówniejszych jej przeciwników zaliczano oprócz Oppenheimera, Fermiego i Conanta. Jeśli w sto-

sunku do dwu ostatnich przyjmowano, że przyczyną ich działania mogą być wyłącznie względy natury moralnej, to w stosunku do Oppenheimera stawiano znacznie cięższe zarzuty. W archiwach policji kryminalnej (FBI) leżała już niejedna teczka dotycząca Oppiego, jak go w skrócie nazywano. Zawartość teczek dotyczyła związków I. Roberta Oppenheimera z komunizmem.

Jego kontakty z „lewicą” datują się od roku 1936, kiedy to Oppi wykazywał „narażającą wściekłość z powodu traktowania Żydów w Niemczech”, później wspomagał pieniężnie czerwoną Hiszpanię, z którą — podobnie jak Hemingway — czuł się „uczuciowo związany”. FBI stwierdziło również osobliwą skłonność Oppiego do kobiet, które poświęcały się dla dobra prostego człowieka. Od roku 1936 datuje się jego przyjaźń z Jean Tatlock, studentką psychiatrii i gorliwą komunistką. W roku 1939 Oppi żeni się z Katarzyną Pnening, wdową po komunistcie, którego falangiści rozstrzelali w Hiszpanii.

Oppenheimer pomaga, dyskutuje, flirtuje ale tak daleko nie idzie w swych lewicowych sympatiach, aby, jak jego brat Frank, wstąpić do KP. W roku 1942, kiedy Oppenheimer przystępuje do badań nad bombą atomową, musi wypełnić ankietę dotyczącą jego współpracy z organizacjami lewicowymi. Od tego czasu agenci defensywy nie spuszczają go z oka. W roku 1943 Oppenheimer przypadkowo nocuje u swej dawnej przyjaciółki Jean Tatlock. Agenci weszli jego ślady, sądzą, że wpadli na spisek. Ministerstwo Obrony zostaje o tym natychmiast powiadomione. Raport otrzymuje generał atomowy Groves. Dla niego jednak Oppi był niezbędny. Groves wmusza pozostanie Oppenheimera.

Oppenheimer wie, że jest śledzony. Z końcem 1942, kiedy jeszcze mieszka w mieście kalifornijskim Berkeley odwiedza go jego są-

siad i przyjaciel, docent Haakon Chewalier, który opowiada mu o ich wspólnym angielskim znajomym nazwiskiem George Eltenton, który przebywał przez sześć lat w Związku Radzieckim. Eltenton skarżył się, że pomiędzy naukowcami amerykańskimi i rosyjskimi nie istnieje żadna wymiana myśli, a przecież to uczeni narodów sprzymierzonych i pytał, czy by Oppenheimer zdecydował się powiadomić o całej sprawie policję. Wymienił nazwisko Eltentona jako podejrzanego, przemilczał jednak Chewaliera jako pośrednika. Później jednak, kiedy zagrożono mu „zniszczeniem jego kariery, nazwiska i opinii”, Oppi załamał się i wydał Chewaliera. Agenci nie ufali mu w dalszym ciągu. Ostatecznie decydujące uderzenie przeciwko Oppenheimerowi przeprowadził William Borden, asystent wydziału energii atomowej przy senacie USA, który od dawna śledził każdy krok Oppiego. Oskarżył on Oppenheimera o paraliżowanie działań Komisji Energii Atomowej i opóźnienie przynajmniej o cztery lata realizacji jej postanowień.

Oskarżenie znalazło się na biurku prezydenta Eisenhowera. Przerażony Ike, którego doradcą był Strauss, zarządził w dniu 3 grudnia 1953, aby Oppenheimer nie miał dostępu do żadnych konfidenacyjnych spraw rządowych.

Jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia Strauss wręczył nie przeczuwającemu niczego Oppenheimerowi oskarżenie, w którym wskazywano na jego kontakty z ruchem lewicowym i opóźnienie produkcji bomby wodorowej. Albo Oppenheimer opuścił natychmiast swoje miejsce doradcy w AEC albo podda się badaniu specjalnej personalnej komisji AFC, która wyjaśni całą sprawę. Oppenheimer stał się do dyspozycji komisji.

SĄD INKWIZYCYJNY

12 kwietnia 1954 roku w jednym z budynków AEC rozpoczął się proces przeciw Oppenheimerowi, przynajmniej przez publicystów do sądu inkwizycyjnego przeciwko Galileuszowi. 39 ludzi z tajnych kół energii atomowej — naukowców, wojskowych i urzędników państwowych przeszło przez huragan pytań, które rzucał przedstawiciel oskarżenia, znany adwokat Roger Robb. Większość świadków świadczyła na korzyść Oppenheimera. Wskazywano na jego ofiarną pracę, zasługi w badaniach atomowych, jego lojalność, zdawanie sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie niesła rosyjska bomba atomowa. Dlaczego więc Oppenheimer sprzeciwiał się budowie bomby wodorowej?

Tajemnicze wyjaśnił były dyplomata George F. Kennan, znany ekspert od spraw rosyjskich i swego czasu poseł USA w Moskwie. Kennan znał bardzo dobrze Oppenheimera, z którym często rozmawiali na tematy polityczne. Obydwaj zdawali sobie dobrze sprawę z niebezpieczeństwa bomby atomowej dla całego świata. Kennan twierdził, że Oppenheimer obawiał się nie samej bomby wodorowej, ale jej użycia z powodu jakichś stosunkowo blahych okoliczności, do czego — jak sądził Oppenheimer — zdolni byli politycy USA. Ani Kennan ani Oppenheimer nie wierzyli w atak Rosji na Amerykę, ale uważali, że bomba wodorowa może być użyta dla pokazania siły w konfliktach tego rodzaju jak koreański czy wietnamski albo podobnych. Przerażało ich to ze względu na nieobliczalne wprost zniszczenia i skutki, jakie to może spowodować. Dyplomata i naukowiec nie widzieli gwarancji, aby do tego nie doszło z chwilą, kiedy bomba wodorowa będzie gotowa.

(dokończenie nastąpi)

OPOWIADANIE



Autobus zahamował nagle. Zamazane dotychczas od pędu świerki nabrały kształtów i zielonej soczystości. Z otwartego po lewej stronie okna wleciał żywiczny podmuch. Piotr z rozkoszą wciągnął zapach w piersi unosząc się z niewygodnej pozycji, w którą wtrącił go wstrząs. Zapach wydał mu się tym miłszy, że równocześnie oparła się o jego ramie dłoń długa i szczupła. Ucisk jej był silny ale miękki; przerażony ptak szukający oparcia. Trwało to mgnienie oka. I zaraz znad czarnego swetra, opijnającego dokładnie okrągłe ramiona, wychynęła twarz. Ironiczny uśmiech łamał jej subtelność. A czy? Ich czerni nie potrafił Piotr porównać z niczym co znał, widział lub czytał. A jednak — pamiętał to spojrzenie — krótkie jak błysk zapalniczki. Gdy się jest otoczonym ciemnością najmniejszy ognek staje się gwiazdą przewodnią.

Doktor Piotr pochylał się szybko do przodu, aby raz jeszcze złowić te oczy. Daremnie. W autobusie było ciasno. A sąsiadka w czarnym swetrze odwróciła się niemal plecami, ukazując zamiast twarzy spłot kasztanowych włosów. Rozmawiała półszepem z przystojnym, opalonym brunetkiem. Mąż? Narzeczony? Kochanek? Piotr łowił tylko urywki zdań i z nich usiłował zbudować układ wzajemnych stosunków tych dwojga.

Znowu gwałtowne hamowanie. Ktoś zaklął, „Psiakrew, czy szofer pijany. Walizka na nogi spada. Mówiłem że rzeczy trzeba dobrze umieszczać w siatce”. I ponownie — delikatny ucisk na ramieniu Piotra. To samo spojrzenie. „Przepraszam”.

Teraz był pewny. Nie, to nie ta kobieta, której oczy poznał w świetle zapalniczki w pewną okupacyjną noc w rodzinnym mieście, której szukał tyle lat. Bardzo podobna. Nie wątpliwie. Ale nie ona. Czy jednak istotnie tak podobna? Mógł ulec złudzeniu. Gdy się o kimś wiele myśli, a nie spotyka przez całe lata, pierwszy napotkany człowiek o jednej identycznej cesze, wydaje się bliskim. Na tym

łatwiej zrobić karierę pochlebstwem niż pracą.

Próbował więc pochlebstw. Ale — był z natury uczuciowy i gwałtowny, zawsze popełniał jakiś błąd, który zwracał go na to samo miejsce z jakiego wystartował. Jako początkującego chirurga traktowano go w klinice zamienionej teraz na szpital „tylko dla tubylców”, z wielkim sceptycyzmem. Do większych zabiegów rwał się, chwając się swymi teoretycznymi wiadomościami, ale nigdy mu nie wyznaczano poważnych operacji. Za to nie szczędzono mu przecinania ropni, wyrostków robaczkowych i innych bzdur. To była katanga.

Tak sobie siebie wyobrażał: wysoki, smukły, baczysty o zgrabnym, zdecydowanym chodzie, głowie podniesionej do góry, i mocnym, wysuniętym podbródku i oczach kłujących spojrzeniem. Szybkość decyzji, trafność sądów, głębokość myśli — to mieli być nieodłączni towarzysze jego ciała. Tę siłę wypróbował przede wszystkim na kobietach — nienawidzony przez mężczyzn. Należał do tych częstych męskich natur, które nie mają pojęcia o odrębnościach kobiecej psychiki. Może stąd i powodzenie.

Zimowe wieczory spędzał często samotnie — przy kominku, jedynym rekwizycie, którym dziadek starał się skwitować swoje rękomo szlacheckie pochodzenie i pańskie ambicje. Siadywał w wielkim, dziadkowym fotelu mocno już przetartym. Trociny i sprężyny wylażyły z nienacka z pękatego wnętrza. Zacztywał się w fachowej i bardzo niefachowej literaturze. Potrafił w krótkim czasie zebrać takie ilości książek, że długa kłocha pokoju wyglądała raczej na schron pisarza, niż na mieszkanie drobnomieszczucha z drobnomieszczuchów, którego lekarskość miała uczynić panem. Ściany pokoju były puste. Dwa stare portrety ukryły się w twardym cieniu kątów. Pod portretem dziadka stał szeroki, drewniany tapczan, przykryty miękką, czerwona niegdyś szmatą. Przed

ADAM HOLLANEK • KLĘSKA DOKTORA PIOTRA

polega chyba szczególnie klimat spotkań rodaków zagranicą, lub mieszkańców jednego miasta w obcym środowisku. Doświadczył takiego uczucia niejednokrotnie. Nigdy nie było tak mocne.

Obserwował dziewczynę od początku podróży. Zawsze była odwrócona. Patrzył na smukłe wygięcie szyi, na artystycznie wyrzeźbioną muszlę ucha. Podziwiał lekkość ruchów głowy. Świeżość cery. Czuł ciepło bijące od jej ciała. Wchłaniał to wszystko z rozkoszą, kołysaną lekkiem. Lekiem o to co spotka go u kresu tej trzygodzinnej podróży. Podobny strach czuł i wtedy, gdy siedział w swym pustym, kiszkowatym pokoju. Na kominku paliło się drzewo. Żywica przyskała iskrami. Zapach inny nieco niż ten co teraz bił przez uchylone okno autobusu, lecz podobny. Zupelnienie jak ta kobieta — podobna i inna od tamtej.

Rok 1943 nie wróżył młodemu doktorowi Piotrowi żadnych większych zmian. Nie budził nadziei. Był w nim tylko niepokój i drażący lek przed zmarnowaniem życia. Trzy lata wcześniej z dyplomem lekarza i tytułem doktora medycyny Piotr znalazł się w jednym z ambulantów rozsypujących się po klęsce pułku. Rozbitkowie parli nieprzerwanie na wschód, wzbijając z dziesiątków dróg chmury kurzu. Ludzie nie wychodzili do nich teraz, jak na początku, z poczęstunkiem: z gorącą kielbasą i wielkimi bochnami chleba. Kryli się po chałupach. Patrzyli przerażonymi oczyma przez szyby, wymawiając przekleństwa i modlitwy. W pyle dróg, w głodzie — wśród narzeków i dezercji przyjaciół i kolegów odpadała od Piotra cała jego wczesna młodość jakby ją kto nagle odkroił nożem.

Z głębokiego nieba wydobywał się co parę godzin urywany warkot maszyn. Potem warokocze światów spływały na ziemię i rozsypywały się w wielkich wybuchach.

Dom dziadka, w którym się Piotr wychowywał stawał się coraz bardziej blady wobec tej warczącej rzeczywistości. Dumny staruszek, który sam chował Piotra od śmierci jego rodziców nie posiadał się z radości, gdy wreszcie wnuk, ukochany wnuk otrzymał dyplom. Pierwszy lekarz w rodzinie. Orli nos dziadka nadyma się. Głos staje się śpiewny. Gratuluje Piotrowi zwycięstwa. Gratuluje zwycięstwa i sobie.

Dziadek umarł w dwa dni po ogłoszeniu wojny. Na serce. Pozostawił wnukowi dwa słabo umeblowane pokoje i chwytające za gardło marzenie o lepszym życiu. „Dalem ci doktorat. Teraz zmusisz życie żeby ci ulegać. Lekarz to pan”. —Piotr dobrze pamiętał słowa staruszka. I wydawały mu się wśród wojennej zawieruchy tak śmieszne, jak to że niegdyś jako dziecko mógł pragnąć zjedzenia wszystkich słodczych z wystawy sklepu cukierniczego z przeciwnika.

Wojna wsaczała w niego pierwsze zadatki leku. To nie był strach śmierci. Szybko Piotr obrzekał się z widokiem zabitych i zabijanych. Nawet zabijanie przestało być dla niego dziwne. Jako lekarz łatwiej dał sobie radę z widokiem ginących, niż z perspektywą śmierci swej ambicji. Zaraz po wkroczeniu Niemców do miasta zgłosił się do szpitala, gdzie leżało jeszcze wielu rannych kolegów z nieszczęśliwej wojaczki. Ale mimo pewnych zdolności i wielkiego nakładu sił nie potrafił się wybić. Predko zrozumiał, że u profesora Hogena i otaczających go asystentów

tapczanem — skóra dzika. Nie wiadomo: trofeum myśliwskie zdobyte przez mało znanych przodków czy wielkopański zakup dla świata. Opodał stół drewniany, o nogach rzeźbionych i powykręcanych tak nieprzyjemnie że doktor Piotr ilekroć skierował na nie wzrok czuł niesmak i przerażenie jak na widok ułomności ludzkiej. Stół ten częściami zarzucony papierami i książkami wspierał się o góry tomów, posiadanych na podłodze. Im bliżej kominka i siedzącego w fotelu Piotra tym droga książkowa stawała się coraz bezładniejsza. Gmatwała się i rozszerzała, rozlewała szeroko jak rzeka biegnąca do ujścia. Wreszcie przechodziła w jezioro otaczające fotel. Na fotelu jak na bezludnej wyspie siedział ze skrzyżowanymi nogami doktor Piotr zaczytany i zamyślony.

Marzenie zbudowało w nim gotowość do skoku. Jak wielu innych ufał w zakończenie okupacji i otwarcie nowych możliwości. Sam do tego ręki nie przykładał. Zbyt pochłaniał go własny zawód i własne zawody. Jak miliony ufał także w nadejście przeznaczonej dla niego — jedynej szansy życiowej i oczekiwał jej lada chwila. Gorzkniał przy tym. Ognik cynizmu płał w jego oczach. Igranie z tym ognikiem było pasją kobiet.

Rozmyślenia przy kominku przerywane zostały pewnego wieczoru ciężkim człapaniem na schodach (drzwi wychodziły wprost na klatkę schodową) i ostre, tłumione dźwięki. Piotr zerwał się na równe nogi. Mieszkał na ostatnim, trzecim piętrze. Na tej kondygnacji żadnych więcej drzwi nie było.

— Do mnie? Kto?

Odczuł niepokój i zainteresowanie. Pociągnął ku sobie kłamek. W drzwiach stała niewysoka kobieta. Głowę okrywał kaptur, ale kasztanowate kosmyki złane deszczem, proste i długie, zwisały nieporadnie wzdłuż policzków. Nie zdołał jej nawet ogarnąć spojrzeniem gdy odskoczyła w cień, odsłaniając chudego draba w kaszkiecie. Drab krył oblicze w wysokim kołnierzu. Pochylał się nad opartym o ścianę, miętym ludzkim kształtem, wydającym ciche jęki. Przyduszało widocznie jeżdżącego pragnąc stłumić krzyk. Cała ta scena tonęła w niebieskim półmroku rozświetlanym przez 15-wattową, zaciemnioną żarówkę.

Z boku uderzył go szybki, gardłowy szept. — Proszę, proszę pozwolić wciągnąć go tu. Pan jest lekarzem, prawda?

— Tak — odparł.

Nie był jednak zdolny ruszyć się z miejsca. Dopiero gdy drab w kaszkiecie usiłował sam dźwignąć jeżdżącego — jednym sussem znalazł się przy nim. Potykając się i płacząc jego partner, wyraźnie zmęczony, ledwo zdołał do wleć bezwładne ciało do łóżka. Piotr odgarmał czerwona kaptur. Uniósł kołdrę. Ułożony na miękkiej pościeli człowiek, przestał jeździć.

— Ranny? — zadał Piotr idiotyczne pytanie. Wzrok wbił w dziewczynę. Siedziała na sterce książek, tyłem do lampki. Ręce złożone na podwiniętych prawie pod brodę kolanach drżały.

Drab w kaszkiecie machnął ręką. Ku dziewczynie i ku Piotrowi. Zanim Piotr domyślił się znaczenia gestu, drzwi szczerknęły. Po uciekającym zostały tylko mokre ślady.

— Może go pan uratuje. My... ja... specjalnie do pana... — dziewczyna mówiła dalej gardłowym szeptem. Było w tym głosie ogromne napięcie energii. Znajdowała się wi-

docznie w stanie gdy mówienie jest trudniejsze od największego bohaterstwa. Piotr wyobraził sobie że niewidoczne w tej chwili oczy tej dziewczyny widzieć musiały rzeczy, o które pytać nie sposób. Kim była — łączniczka podziemnej organizacji? Wspólniczka zbrodni? Żoną umierającego? Piotr wyszedł do drugiego pokoju. Nastawił wodę w garnku na gazowej kuchence. Wrócił aby zbadać leżącego na łóżku.

Dziewczyna zerwała się wówczas ze steru książek. Podeszła do Piotra ciężkim krokiem, skulona. Spostrzegł że kępowały ją zbyt wielkie części garderoby. Męski płaszcz związany pasem. Ręce wystające nieznacznie z potężnych rękawów wydawały się dziecięce. Kaptur spadał na oczy. Nie próbowała go nawet odgarnąć. Włosy mokrymi strakami oblepiały policzki, mieszając się z dużymi plamami niewiadomego pochodzenia. Te plamy były chyba zielone. Wyglądało to śmiesznie. Piotr przez sekundę zaważał się, rozcinając koszulę na ciele leżącego mężczyzny: może raczej ją, chwiejącą się na nogach należało ratować, niż tego człowieka, wyraźnie bliskiego agonii. Wzrok lekarza i dziewczyny zatrzymał się na piersiach ranego, oblepionych czerwienią.

— Do niego strzelali z przodu. W serce — odezwała się nagle tak silnym głosem, że Piotr mimo woli wzdrygnął się. Pierwsze wrażenie kobiety złamanej i miękkiej musiało być oszustwem. Rozczarowała go ta dziewczyna. Nie znosił w kobietach żadnej siły.

Autobus cały drżał od pracy silnika. Warczenie zlewało się w jeden drażniący łomot z poddźwiękiwaniem szyb i gwarem różnów, które teraz po pierwszych zachwytach nad krajobrazem, wybuchły gwałtownie. Po lewej stronie, tej skąd bił zapach żywicy, ciągnęła się rzeka. Raz cienka i pomarszczona — wyglądała zza krzaków jak odłamki lustra. To znów wyciągała się w szeroką taśmę nabita gęsto kamieniami. Za rzeką falowały pagóry coraz wyższe i coraz ciemniejsze od gęstych, szpilkowych lasów. Na rzadkich polanach tulili się do stoków, zmiekkzonych soczystą trawą i kwiatami — drewniane domki. Proste o ostrych dachach. Ale oto pagórki poczęły się oddalać. Ustępowały jak gdyby naporowi ludzkiemu. Drewniane domki, początkowo rzadkie, ustawiły się teraz szpalerem wzdłuż szosy. Tworzyły coraz zwartę szereg.

Pojawiły się nowe elementy: biel ścian, czerwień dachów. Ta czerwień rzucała ciepłe blaski na twarze siedzących w autobusie. Wjeżdżali do miasteczka. Oto niskie brudne kamieniczki opleczone tabliczkami, zaświecającymi o codziennych sprzecznościach i potrzebach: akuszerka, sklep mięsny, adwokat.

Autobus z asfaltowej szosy zeskokczył na kocie łby. Zrywmy resorowanych foteli stały się nieznosne. Zatrzymali się na czworogranistym rynku za wielkim w stosunku do niskiej zabudowy. Po pełnych kurzu, słomy i śmiecia uliczkach było to jednak wychnienie: na rynku — trawniki, ławki, dużo sklepów. Miniatura wielkiego miasta.

— Pięć minut postoju — zawołała konduktorka której ondułowane włosy ani rusz nie chciały się pomieścić pod męską czapką.

Pasażerowie unosili się z miejsc. Siegali po papierosy i jabłka. Z trudem przeciskali się wąskim przejściem ku rozwarłym szeroko drzwiom. Niezgrabnie zsuwali się po stro-

mych schodach. Nogi scierpiły od niewygodnego siedzenia.

Sąsiadka Piotra wstała. Była niewysoka. Pełna i okrągła. — Granica zgrabności i dojrzałości kobiecej — pomyślał Piotr.

— Rozprostujemy nogi — powiedziała. Głos? Był pozbawiony szczególnej barwy i siły. Jakże inny od tamtego głosu, który głęboko tkwił we wspomnieniach Piotra budząc tęsknotę i niepokój. Ale może znowu się mylił? I tamten głos początkowo dźwięczał cicho i nijako, aż wśród nocy nabrał barwy i siły. A może i to złudzenie? Być może sentyment Piotra dodał barwy głosowi dziewczyny.

Piotr wstał. Wyszedł za „ciemną” i jej partnerem. Zeskakując jak tylko umiał najzgrabniej ze stopni auta, pochwycił nowe przełotne spojrzenie. Nieznajoma poufałym gestem ujęła bruneta pod rękę. Zbliżyła usta do jego ucha. I Piotr byłby przysięgł że oboje mówią o nim. Wyglądało tak z delikatnych ich gestów, których nie potrafili ukryć.

Jeszcze jedno ironiczne spojrzenie. Pochwycił je i oddał swoje: obojętne i wyniosłe, a para oddaliła się ku sklepowi z lodami i piwem.

Nie poszedł za nimi. Rozglądał się po rynku. Rozprostowywał ręce i nogi. Poddawał się fali świeżego, zimnego wiatru, wnoszącego na ten małomiasteczkowy rynek oddech innego świata. Świata który Piotr znał dotychczas tylko z książek, pocztówek, na który był przygotowany w zupełności z wyjątkiem właśnie — powiewów i zapachów. Śmieszne — on dojrzały mężczyzna, obywatel — nigdy jeszcze nie był w tych górach A i teraz zamiast jechać na poznanie nieznanych krajów, dążył tam aby jedno białe sale szpitalne zamienić na inne. Jedne upokorzenia na drugie. Starał się sobie mówić że wszelka wygórowana ambicja nie ma sensu. — Jestem takim samym człowiekiem jak miliony. Niczego we mnie ponad normę. A jednak poprzez szare, twarde jak ubita ziemia, warstwy rozsądku przebiła się ambicja. Oczy Piotra błyszczały wówczas: dwa płonące źródła. Musiał kilkakrotnie poruszyć głowę i machnąć dłonią przecinając spojrzenie, wbił w jeden punkt, aby powrócić do rzeczywistości. Chwile zamyślenia czyniły Piotra szczególnie interesującym. Sugerowały istnienie głębokich przepaści w jego duszy, obiecywały nieznaną przyszłość. Może właśnie dlatego Piotra tak lubiły kobiety i tak nie lubili lekarze — realisti z krwi kości i jeszcze wielu innych rzeczy.

I teraz, gdy stał tak zapałszy w oworokat niskiego rynku, wdychając żywiczny wiatr bijący od południa — poczuł nagle ogromny przypływ energii i wiary w siebie. Może to spojrzenie ciemnej dziewczyny i wspomnienie tamtych gorzkich chwil przebiło skorupę powszedniości i niepokój? Każdy myśli czasem o sobie że jest niezwykły. A może każdy czasem bywa niezwykły?

Jakże dziwny i niedościgniony sam dla siebie był Piotr owej pamiętnej okupacyjnej nocy. Pamiętał doskonale swą potężną radość, kiedy siadał na kozioł pierwszej z brzegu sprowadzonej dorożki. Woźnica skulony milczał i posłusznie poganiał konia. Pod podniesioną budą, na której rozpryskiwały się krople drobnego deszczu leżał człowiek. Piotr miał go uratować. A on — miał uratować doktora Piotra.

(Dokończenie na str. 9)

ABC SZTUKI

NOWOCZESNEJ

Adam Kotula
Piotr Krakowski

12)

KUBIZM ANALITYCZNY

(Ciąg dalszy)

KUBIZM HERMETYCZNY

Niektórzy krytycy wyodrębniają okres 1911–1912 r. jako kubizm hermetyczny, będący dalszą kontynuacją eksperymentów nad zagadnieniem przestrzeni w obrazie.

Proces nowej transpozycji trójwymiarowego przedmiotu względnie postaci na płaszczyznę płótna został konsekwentnie pokazany np. w portrecie Picassa, wykonanym przez J. Grisa (reprod. w 9 odcinku „ABC”). Obraz został zbudowany na zasadzie liczby 3 — występują trzy zasadnicze kolory, jest potrójne światło i potrójne padanie cienia, są trzy różne punkty patrzenia na malowaną postać. Wszystkie trzy wymiary zostały przeniesione na jedną płaszczyznę. Wrażenie przestrzenności zastąpione zostało przez napięcie kierunkowe i kolorystyczne. Artysta stara się zanotować na płótnie nie tylko pewien wycinek otaczającego go świata, ale również sam proces obserwacji.

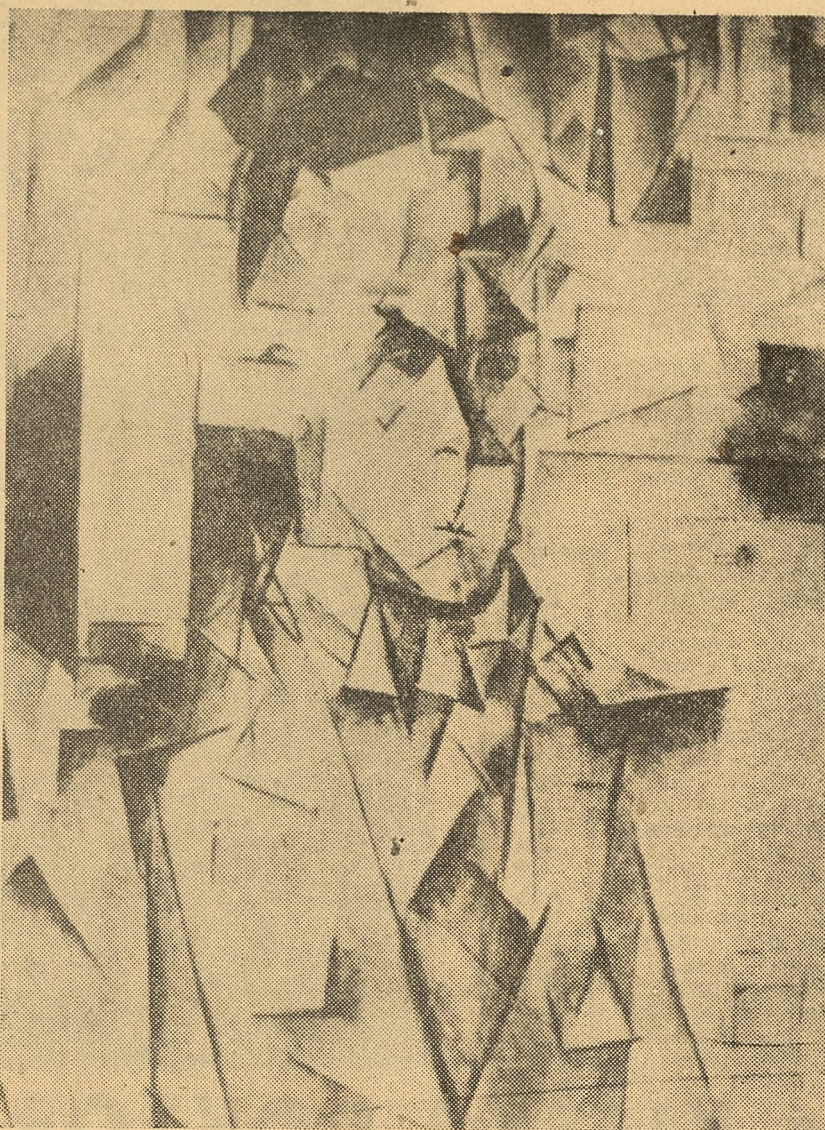
Oglądając obrazy J. Grisa, Picassa czy Braque'a z lat 1911–1912, doznajemy wrażenia, że ich poszczególne, nakrywające się elementy malowane są na osobnych przezroczystych płytach, które z kolei ułożono jedną na drugiej. Ten sposób przy użyciu kryjącej metody kładzenia farb i przez niejako bezpośrednie stykanie się poszczególnych, równoległych do siebie „warstw” obrazu, powoduje równocześnie wyeliminowanie wrażenia jakiegokolwiek przestrzenności, nawet pojętej reliefowo, jak to miało miejsce we wcześniejszych fazach kubizmu.

W obrazach, dla których tematem wyściowym jest głównie martwa natura, dostrzegamy płasko potraktowane, geometryzowane formy, woluty, fragmenty instrumentów muzycznych, przeplatające się z kluczami wiolinowymi, nuty, klawiedze sprzątek i lity. Poszczególne przedmioty, czy ściślej pewne plastyczne aluzje do tych przedmiotów nie rysują się w obrazie wyraźnie, oko musi je z trudem wyszukiwać i rozpoznawać, równocześnie jednak posiadają one właściwość wzajemnego współgrania i sumowania się w zgodny akord ogólnej treści znaczeniowej. „Obrazy rozbrzmiewają, są to obrazy symfoniczne, których szczegóły współdziałają tonami przedmiotów” (A. Schmeller).

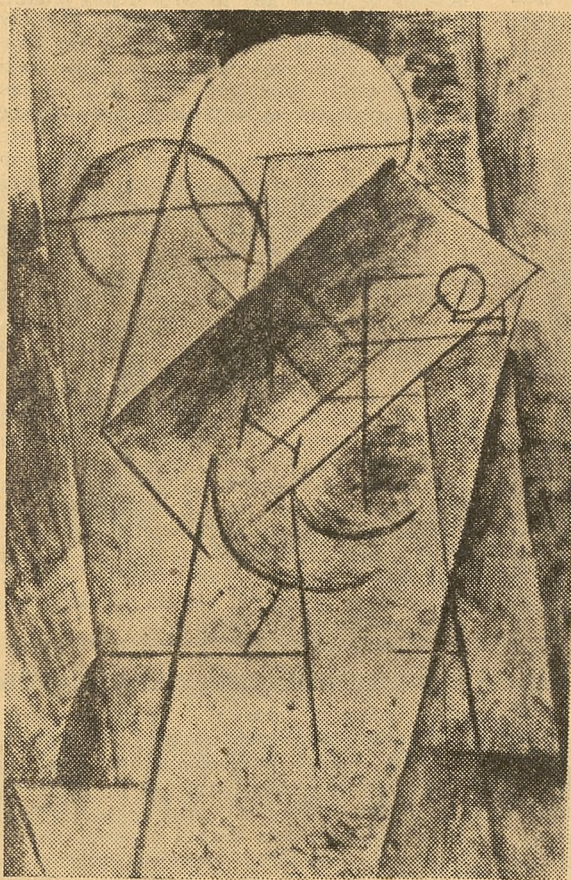
Równocześnie w kubizmie hermetycznym możemy dostrzec zapowiedź tego, co po roku 1913 stanie się dla kubistów zasadniczym warunkiem — dążność do całościowania przedmiotów, a tym samym eliminowania z obrazów zagadnienia czasu i przestrzeni, których to istnienie uwarunkowane było rozbiorem formy przedmiotu w pierwszym okresie analitycznym (symultanimizm przestrzennym).

Jednym z przejawów tych tendencji była technika collage'u, którą zapowiedziała i przygotowała moda wprowadzania do obrazów kubistycznych poszczególnych liter alfabetu względnie całych słów, naśladujących napisy na skrzyniach, nagłówki gazet itp. (Braque, Picasso, 1911), a także naturalistycznie traktowanych imitacji drzewa lub marmuru. W końcu 1912 r. artyści zaczęli umieszczać na obrazach oryginalne fragmenty przedmiotów: strzępy tapety, wycinki z gazet, karty do gry, kawałki szkła, luster, ziarenka psianki itp. Ten nowy sposób zapożyczali malarze także od rzeźbiarzy, którzy w tym czasie tworzyli swoje konstrukcje z przypadkowych kruchych materiałów jak np. pudełka od zapalek itp. (Laurens, Archipenko, Lipschitz, a także — Picasso).

Collage prowadzi do dalszego uspokojenia i krystalizacji powierzchni obrazu. Występuje jeszcze wyraźniejsze wyodrębnienie poszczególnych form, wzrastają napięcia kolorystyczne i poszczególnie kontrasty barwne. Obrazy stają się bardziej oschłe, bardziej materialne, bardziej konkretne. W ten sposób krystalizuje się ostatecznie faza kubizmu syntetycznego.



PICASSO: PORTRET WILHELMA UHDE (1910)



PICASSO: GŁOWA KOBIETY (1911)



PICASSO: BUTELKA „SUZE” (COLLAGE) 1913

OBYCZAJE

Olgierd Terlecki, autor ciekawej i pionierskiej w pewnym sensie książki pt. „Kierunek Cassino” napisał na stronie 109 takie zdanie: „Rzadko człowiek dostrzega, że właśnie teraz, w przepływającej chwili mija część życia”. Chciałbym sparafrazować to powiedzenie na: „rzadko człowiek dostrzega, że właśnie teraz dokonuje się jakaś zmiana”. Zmiany dokonują się na naszych oczach, obok nas i w nas samych, ale spostrzegamy je dopiero po jakimś czasie, albo gdy nam ludzie postronni zwrócą uwagę. Jesteśmy mało czuli na owe „przepływające chwile”, i jak mawiał ojciec Antoniego Słonimskiego „doświadczenie nas uczy, że zawsze umiera ktoś inny”.

Mimo iż wydawało mi się, że potrafię dość rozsądnie śledzić procesy zmian, jakie zaszły w naszym kraju po Październiku — przyszedł taki wieczór, kiedy zostałem „akby pałką rażony”. Oto ktoś podsumował moje doświadczenia jednym zdaniem. Było to w czasie sprawozdania z drugiego dnia II Festiwalu

się z grymasem znawców i łowców filozofii i podtekstów. Były to bowiem rzeczy zbyt małe według nich. Ale moje zdanie jest inne: jeżeli idea, a więc coś bardzo wielkiego i szacownego, — obawia się wąskich portek, kolorowego krawatu, jazzowej muzyki — to daje tym samym znać, że jest w ogóle słaba i śmieszna. Marksizm nie jest śmieszny, ale został poważnie osłabiony, a w niektórych środowiskach zupełnie w niedawnych latach skompromitowany przez talmudycznych stróżów szaryzmy i monotonii. I oto nadeszły dni, kiedy wszystko to stało się daleką, politowanie budzącą przeszłością.

Jest w nowej atmosferze coś, z czego zdają sobie sprawę nawet najgłupszy prelegenci, tępo odwalający szablon z „notatnika” tak samo na wyższej uczelni jak w gromadzie Kurki Stare. Nie ma dziś człowieka, aktywisty, działacza, który by odważył się iść do tzw. mas z drętą mową, z frazesami ze słoganami, których sam nauczył się już nienawidzić. Każdy stara się gadać jak potrafi, „po duszku”, jak mawiają Rosjanie.

Przykład dał Gomułka w Październiku. Jedno jego przemówienie więcej było warte niż tysiące spiczów poprzednich. Nie ma w nim sztywności, nie ma dystansu do odbiorcy,

Trudno spostrzec...

Jazzowego w Sopocie. Sprawozdawca w pewnej chwili powiedział, że Festiwal Jazzowy otworzył i powitał jego uczestników wiceprzewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku. Ta jedna informacja mogłaby kiedyś za lat, powiedzmy, pięćdziesiąt, posłużyć nie-uwagzemu czytelnikowi naszej dzisiejszej prasy za asumpt do posądzenia nas o głupie kawały. Bo gdyby tak się złożyło, że ów nasz późny wnuk ominąłby trzy miesiące przed i po Październiku, urwał lekturę na zasadniczych dyskusjach o przyszłości polskich świetlic, które odwiedza zbyt rzadko młodzież zarazona kosmopolityzmem, wyrażającym się w noszeniu kolorowych koszul i tańczeniu jazzu, — a nagle przeczytał, że wiceprzewodniczący poważnej WRN otwiera „jazz jam-boree” — poczytałby nas za wariatów.

A przecież ten drobny szczegół jest niezwykle znamienity. Kiedy komentator gdański oddał głos muzykom, powiedziałem do żony: jednak się kręci. Na co żona: no i co? Czy socjalizm się zawalił?

Jak na razie — nie. Ale zawałiło się wiele przybudówek, które go obskakiwały jak rudery straganiarskie Sukiennice w końcu ub. wieku. Sukiennice dziś są piękniejsze, choć bud nie ma, a raczej właśnie dlatego.

Zmieniło się w Polsce wiele. Łatwiej oddychać, można śmieiej mówić i myśleć. Nikt nie boi się nagle aresztowania, nastąpiło więc pewne naturalne u Polaków rozprężenie. Ale i ono minie. A przecież jeszcze niedawno mój naczelny redaktor w pewnej codziennej gazecie dał mi omal że nagane za noszenie amerykańskiego zielonego krawata, na którego końcu wymalowane było szare ptasie pióro. Jeszcze niedawno szły na mnie donośy z komitetów powiatowych w woj. X tej treści: „co nam przysysłać tego kosmopolitę w berecie”. Bo mój brązowy poczciwy beret był także kosmopolityczny. Na szczęście w KW siedzieli ludzie rozsądniejsi i donosy powiatowych gorliwców cisnęli do kosza. Przecież w roku 1952 ZMP-owcy znęcali się w czasie zabawy na uniwersytecie w Łodzi nad chłopcem, który ośmielił się włożyć wąskie spodnie. Wnieśli go na podium, szarpali jego wąskie nogawki i gwizdali. Chłopak płakał ze wściekłej bezsilności. Kiedy napisałem w tej sprawie protest do starego „PO PROSTU” list mój wrócił do Zarządu Łódzkiego ZMP z prośbą aby mi się przyjrano. Mój protest budził najwyższe podejrzenia o obojętność klasową. Dziś młody człowiek, który mnie indagował, chodzi w glorii nieustraszonego październikowca... Panta rei.

Są to już rzeczy śmieszne. Gdyby ktoś napisał o tamtych czasach powieść, szczególnie nacisk kładąc na te kretynskie „zagranie” młodych i starych, oceniających wartość ludzi przez pryzmat ich portek i krawatów — powieść taka spotkałaby

*) Antoni Słonimski: „Wspomnienia warszawskie”, Czytelnik 1957.

nie ma pogardy dla mas, maskowanej jowialnością. Stało się tak, że dygnitarze, którzy uwierzyli w swoje dziejowe zasługi, predysponujące ich do nieodrywania siedzeń od samochodowych foteli — teraz w wielu wypadkach dyndają piechotką, albo na łebka. Wiele will dygnitarskich w uzdrowiskach i miejscowościach wypoczynkowych oddano „masom” na żłobki, na szpitale, na domy wczasowe. Członkowie KC i Biura Politycznego stali się członkami podstawowych organizacji partyjnych w zakładach pracy, za ich przykładem i na ich rozporządzenie — to samo uczynili pracownicy całego etatowego aparatu partyjnego. Stało się to, co się powinno było stać dawno. Ale system stalinowski, system rządzenia w imieniu mas i dyktatury nad masami nie pozwalał nawet dobrym towarzyszom „iść w lud”. Przecież były takie zwyczaje w aparacie partyjnym, że pracownicy jego musieli się wynieść z kim sypiają, albo mają się zamiar ożenić. Znałe są wypadki wybierania żon instruktorom przez sekretarzy, a zatwierdzania przez egzekutywy. Brzmi to satyrycznie, i na ten temat powstały opowiadania satyryczne. Ale to była prawda. Biurokracji stalinowskiej chodziło o stworzenie takiego aparatu, który by nie był niczym związany z masami, który by stał zawsze ponad nimi, dyrygował nimi i trząsł. System zaopatrzenia, owe sklepy za złotymi firankami, system wczasów i urlopów, wszystko to miało swoją wymowę i rolę wyznaczoną z góry. Budowane to było z dużą przemysłowością, choć dziś mogą pewni ludzie tłumaczyć „warunkami państwa”, koniecznością izolacji dla zachowania tajemnicy partyjnych i państwowych itd. To jest oczywista bzdura, ponieważ nie ma lepszych warunków dla zachowania tego co trzeba w tajemnicy i bezpieczeństwa niż wtedy, gdy całe społeczeństwo o takiej potrzebie jest do b r o w o l n i e przekonane.

Październik uczynił dla Polski tak wiele, jak żaden okres przedtem. Jest czysta atmosfera, jest wolność, jest zaufanie do partii, jest wreszcie nadzieja na stopniową poprawę bytu całego narodu. Okres ponurego sztywniactwa, okres drętwości powszechnej, okres programowego wapnienia mózgów mamy za sobą. Okazało się przecież, że taki np. jazz nie zagraża socjalizmowi, a przeciwnie, robi się od niego weselej. Że taki np. Kantor może uważać sztukę za zabawę i najpierw pacykować płótna a potem dumać jaki by temu dać tytuł. I że to wszystko razem jest naprawdę bardzo zabawne i nieszkodliwe. A jeszcze parę lat temu Kantor był na pewno notowany w UB jako podejrzany o imperialistyczne sympatie dekadent.

Czas płynie, niepostrzeżenie zmieniło się tak wiele w poglądach naszych i tych, od których dawniej one zależały, a przynajmniej zależało ich publikowanie. Socjalizm zaś idzie swoją drogą.

BOHDAN DROZDOWSKI

List z obozu harcerskiego

Babcu! Proszę się o mnie nie martwić!

Naprawdę bardzo mi przykro, że tak późno napisałam do Babcu, ale mam na pisanie listów bardzo mało czasu. Dziękuję Babcu za karteczkę i za kilka miłych słówek.

Babcu! Tutaj w Kasinie jest już od 3 dni brzydka pogoda i pada deszcz. Siedzimy całymi dniami w domu i zabawiamy się jak możemy. Nie wiem, czy już Babcu pisałam, że byliśmy na Snieżnicy (najwyższy okoliczny szczyt), która ma 1006 m. Wycieczka była bardzo przyjemna. Wtedy była jeszcze ładna pogoda. Poza tym nasz zastęp, który składa się z 14 dziewczynek gotował już 2 razy obiad, bo wszystkie zastępy gotują po kolei. Oczywiście gotowałyśmy pod nadzorem gospođyni i naszej zastępowej.

Babcu! Proszę się o mnie nie martwić. Jest mi tutaj naprawdę dobrze, doskonale się czuję i mam wielki apetyt. Opieka nad nami jest świetna. Nasz program dnia wygląda następująco:

O godz. 7.00 pobudka, od 7-ej do 7.15 gimnastyka poranna, następnie apel i śniadanie. Potem mamy różne ćwiczenia harcerskie, a o godz. 13.00 obiad. Po obiedzie odpoczywamy 2 godziny — jest cisza po-

łudniowa, a potem znów różne gry i zabawy. O godz. 20.00 koo- cja. Robimy również małe wycieczki, ale się zbytnio nie przemęszamy. Moje koleżanki są bardzo mile. Spimy w małym, przyjemnym pokoiku — śpi nas 12.

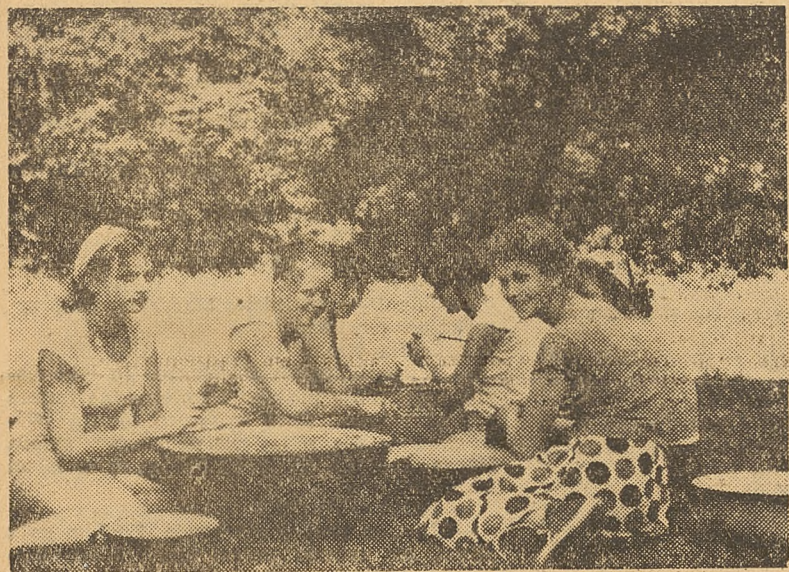
Kasina, to uprawdnie dziura, zabita deskami, ale bardzo miła. Jest tu dużo lasów, zieleni, świeże powietrze. Nasz domek (w którym mieszkamy) jest położony wśród drzew liściastych i iglastych. Dawniej był to dworek dla służby tu-tejszego dziedzica. Są nawet ślady ślicznej sadzawki i parku. Sam domek jest jednopiętrowy, pomalowa- ny na biało, z czerwonym dachem. Wczoraj była niedziela i zjechało się bardzo dużo rodziców. Do mnie nikt nie przyjechał, bo przecież ro- dzice są w Zakopanem.

A załem pa, całuję Babcie mocno niezliczone ilości razy

TERENIA

P.S. Oddaj Babcu ten list do „Zdarzeń” — oni interesują się har- cerstwem — już raz zamieszczali zdjęcie z obozu. I napisz, że j stę na obozie Hufca „Stare Miasto”.

Tereska



Obieranie ziemniaków należy do ważnych czynności obozowych. — Pierwsza od lewej — autorka listu Terenia.

SYLWETKI ARTYSTEK FILMOWYCH

(na życzenie Czytelników)



Grace Kelly

Rozmowy z Czytelnikami

TADEUSZ SZCZUDŁOWSKI, LUBLIN, ul. Gliniana 22/3. Pytania stanowczo za trudne poza pierw- szym, które wykorzystujemy. Prosi- my oczywiście o dalszą współpra- cę.

„SZARY CZŁOWIEK. Kraków. Dłochczasowe podwyżki cen wód- ki bynajmniej nie wpłynęły na zmniejszenie się pijaństwa. Ma Pan natomiast rację, że wysokie zarob- ki młodych ludzi są przyczyną wie- lu ujemnych zjawisk. Pisze Pan: „Młodzi ludzie po szkole nie powinni zarabiać tyle ile zarabia człowiek, który pracuje wiele lat w zawo- dzie. Młody zarabiający z miejsca wiele nie wyrabia w sobie ani zami- lowania do pracy ani szacunku do starszych: „Do spraw tych powró- cimy w artykułach.

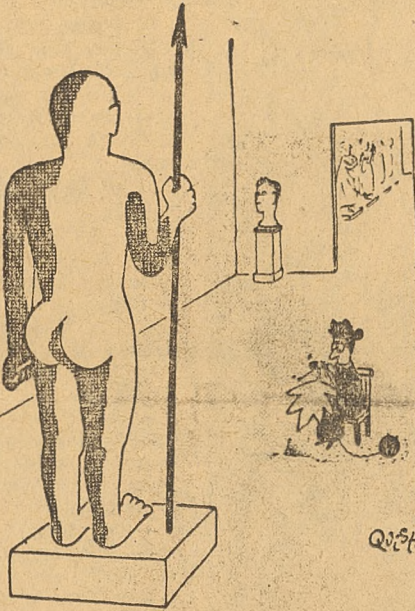
SZYMON PETELA, KRAKÓW, Czołzka 32/32. Rozwiązania krzy- żówek można nadsyłać do Redakcji, biorąc udział w losowaniu nagród. Należy stałe brać udział w naszym konkursie cotygodniowym a szczegó- cie na pewno się uśmiechnie.

JANINA GRZESIOWSKA, KRA- KÓW 8. Decyzja zdobycia się na list do redakcji okazała się jak naj- bardziej słuszną. Wiele uwag Pani bardzo cennych wykorzystamy, przy redagowaniu pisma. Również posta- ramy się rozpracować szereg te- matów. Prosimy o częstszy z nami kontakt.

„STARY DZIAD”: — W „Pieśni dziadowskiej”, którą otrzymaliśmy, występuje wyidealizowany typ sta- rego dziada z dawnych „dobrych” czasów. Współczesne dziady mają inne metody działania, o czym pi- sała w „Zdarzeniach” Anna Stron- ska. Cała ta filozofia dziadowska nie pasuje do dnia dzisiejszego.

Jeden z mieszkańców Krakowa. Powieść o Mazurkiewiczu wzbudzi- ła duże zainteresowanie. Przylacz- amy Pańskie uwagi, które często spotykamy w listach czytelników: „Znam opisywane przez Kwiatkow- skiego środowisko. Uważam, że autor doskonale ujął temat poka- zując przekrój pewnej warstwy lu- dzi żyjących w naszym kraju”. Nie możemy panu powiedzieć, kiedy po- wieść ukaże się drukiem. Przez dłuż- szy czas będzie ukazywała się w „Zdarzeniach”. Wszelkie uwagi te- go rodzaju przekazujemy oczywiście autorowi.

Zbigniew Gawlik, Kraków, Sław- kowska 6, „Fotos”. Nasz konkurs cotygodniowy nie ma charakteru plebiscytu. Pytania są łatwe i przylaczająca większość czyteln- ików odgaduje trafnie. Przy prze- syłaniu pytań trzeba oczywiście na- desłać odpowiedzi.



Q&A

ADAM HOLLANEK • KLĘSKA DOKTORA PIOTRA

(Dokończenie ze str. 7)

Badanie szybko przekonało lekarza, że pół- przytomny, przyniesiony do jego domu przez draba i dziewczynę, jest najprawdopodobniej ranny w serce. Szansa uratowania jedna na tysiące. Tę jedną jedyną szansę Piotr uznał za najlepszą możliwą spełnienia swoich nadziei. On pierwszy w tym mieście i jeden z pierwszych w kraju zeszyje drgające, zamie- rające serce. Ileż obiecywała ta noc, skulo- na na stercie książek dziewczyna i konający nieszczęśliwiec, o którym nic a nic nie wie- dział.

Dorożka podskakiwała na wybojach przed- mieścia. Woźnica kulil się coraz bardziej. Za to doktor Piotr rozpiął się na koźle. Było już dawno po godzinie policyjnej i odkry- cie rannego (partyzanta zapewne) oznaczało by dla całej trójki — śmierć. Wielka przy- goda, na którą tak długo czekał uczyniła Pio- tra bohaterem. Nie czuł posmaku wielkości w wojnie, gdzie był pionierkiem zagubionym wśród mrowia takich jak i on sam. Nie czuł posmaku przygody w okupacji w jej zmian- nych kolejach, bo i tam mógł być tylko wa- tłą podpórka wielkich lub małych budowli. Tu działał sam, na własną rękę. Dla siebie, chciał siebie samego sprawdzić. Tyle po so- bie się spodziewał i tylu doznał rozczarowań.

Siedział na koźle i śpiewał coraz głośnie- jnie mieckie piosenki, których nauczył się od pijaków z knajpy sąsiedzkiej. Co noc dolaty- wały do niego te śpiewki — sprosne i szorst- kie. Żołnierze wychodzili z szynku obejmu- jąc dziewczęta, porozumiewające się z nimi najczęściej na migi. Nie potępiał takich dziewcząt, ani sprośności żołnierskiej. — Gdyby był na ich miejscu zachowałbym się tak samo — mówił sobie.

Teraz górował nad ulicą. Skłaniał ciało to w lewo to w prawo. Głową kręcił jak pijak szukający w powietrzu oparcia. Papatle mi- jały go obojętnie, lub też rzucały kpiące

spojrzenia i docinki. „Co za świnię tam wie- dziesz pod budą, kolego?”

„Żadna świnię. Dziwkie wiozę. Jazda z dro- gi. Weg.” Ustępował pijakowi. Ci w służbie marzyli pewnie o takiej samej przygodzie. A on — Piotr coraz bardziej wpadał w swoją rolę i coraz doskonalej ją grał.

Nie wiedział, że dziewczyna, którą zostawił w pokoju, stała cały czas oparta głową o zła- ną deszczem szybę i z ogromnym podziwem łowiła jego oddalający się śpiew. Sama od- ważna aż do brawury nie mogła pojąć nagłej decyzji i poświęcenia tego obcego mężczyzny.

Bruk tej nocy, mimo siekającej ulewy, nie wyglądał połyskliwie i ślisko. Zbyt było ciemno. Gdzieś niedługo tylko, spoza źle za- ciemnionych okien przyskły żółte krople elek- tryczności zmieszane z kropkami deszczu. Na rogu Kramarskiej skulony dryndziarz zawo- łał „prrr”. Posłuszne zwierzę zatrzymało się natychmiast.

— Dalej nie pojedam, panie. Tam już pa- troł na patrolu. Dzielnica niemiecka. Pan wie.

— Człowieku nie wyprowadzaj mnie z równowagi — zawołał po niemiecku Piotr.

— Nie znasz mnie. Jak nie pojedziesz to tu na zawsze zostaniesz.

Spod szerokiego kapelusza woźnicy wyla- zły nagle dwa czarne zwierzątka żywe i prze- rażone — oczy. Z sąsiedniej kamienicy przez uchylone drzwi buchała para, przesycona światłem i wyiewami alkoholu.

— Nie pojedam, panie. Boję się.

— No, to dowiedz się wreszcie kim je- stem — Piotr przestał mówić po niemiecku. Ściszył głos do syku. Prawą dłoń ścisnął grzebień w kieszeni płaszcza. Niech myśli że mam pistolet, sztylet, czy co tam jeszcze moż- na mieć, byle jechał dalej. — Jazda.

— Nie pojedam. Zabij pan, a nie pojedam. Będzie krzyczał..

Doktor Piotr dzielił dorożkarza pięścią między oczy. Ten stoczył się z koźla pod

uchylone drzwi knajpy. Leżał chwilę nieru- chomo, a potem rozdziewiając usta, skoczył jednym susem w obręb świata. Tymczasem zacięta biczem szkapa ruszyła z miejsca klu- sem. Piotr walił konia gdzie popadło. Po- wóz wtoczył się na asfalt i szedł równo, i miękko w ślad za nierytmicznym tupotem podków przerażonego razami i krzykiem zwierzęcia.

Szpital był tuż, tuż. Już za rogiem wyłonił się ciężki kontur tego masywu cegły, w dzień kłującego oczy ponurą czerwienią. Za chwilę białe pielgniarki ujmą poręczę wózka, wózka na wielkich rowerowych kołach i wwożą chorego do przedoperacyjnej. Profesora o tej porze nie będzie. Dyżur ma młodziutki La- chowski. Piotr zabroni mu dzwonić po po- moc. Sami dadzą radę. Wyobraził sobie roz- szerzone, żółtawe oczy drobnutkiego La- chowskiego, gdy oznajmi mu jakiś zabieg bę- da musieli przeprowadzić. Lachowski — oto szary człowiek. Doktor Piotr nigdy nie wie- rzył aby z tego zastraszonego człowieka miał kiedyś wyrósnąć jakiś autorytet. I po- myśleć — kilka lat później spotkał go w mi- nisterstwie na zawrotnie wysokim stanowi- sku. Lachowski wyciągnął wtedy szczupłą dłoń do uścisku i zapytał: „Czym mogę służyć panu doktorowi? W czym mogę pomóc?” Piotr miał przez moment ochotę skoczyć szczeni- akowi do gardła i wdusić w nie te słowa z po- wrotem.

Lachowski był jedynym naocznym świad- kiem klęski Piotra.

Pielgniarki już podówczas wyszły. Zaszy- te serce przestało bróczyć krwią. Uderzało równiutecznie pod miękka powłoką skóry. Piotr spojrzął na Lachowskiego z taką serde- cznością jakiej żaden kolega nigdy nie okazywał najmłodszemu asystentowi. La- chowski miał w żółtych oczach bezgraniczny podziw i uwielbienie. Stali obaj nad rozpię- tym na stole ciałem nieznajomego, obserwu- jąc w napięciu ruchy kłaski piersiowej i brzucha, dygocące jak ziemia uderzana po-

ciskami. Wtem brzuch zaczął pulsować coraz gwałtowniej. Wydawało się — wybuch ja- kiś rozsądi go lada chwila. Aż wypie- trzony gwałtownym skurczem mięśni — za- padł się i znieruchomił. Lachowski zamru- gał z niedowierzaniem żółtymi oczami. Piotr wbił igły w zakamieniałe ciało operowane- go. Bez skutku.

Nie domywszy ręk, bez słowa zrzucił kitel powalany krwią na podłogę i w koszu- li wybiegł na deszcz. Dopiero wówczas uświado- mił sobie że — przegrał.

Wrócił do sali. Powiesił kitel w przedope- racyjnej na kołku wieszadła. Przejrzał się w lustrze. Twarz miał biała, ale jak zawsze męską i mocną. Wyszedł na ulicę wymyły i wyświeżony jakby podał na przyjęcie. Odór środków dezynfekcyjnych starał się za- bić sporymi dawkami kolońskiej wody. Czuł tylko ogromne zmęczenie. Spać, spać, a ju- tro pomyśle o wszystkim.

Nie pamiętał kiedy i jak wszedł do domu. Nie wiedział czy otworzył sobie sam czy otwarła mu dziewczyna. Przypomniatł sobie o jej istnieniu bez żadnych emocji, jak gdy- by z nim zawsze mieszkała.

— Już czwarta — powiedziała ona swym niespodziewanym mocnym głosem, o lekko gardłowym brzmieniu. Taki głos przypisywał Murzynkom, choć nigdy żadnej nie słyszał. — Już czwarta — powtórzyła — zdrzemnęłam się.

W pokoju paliła się niezmiennie jedyna lampka na parapecie kominka. Ogień w ko- minku wygasł i było zimno. Piotr rzucił się w ubraniu na łóżko. Dziewczyna stanęła nad nim. Włosy jej mieniły się soczycie na tle wyblakłego wizerunku dziadka. Dojrzał to kątem oka zanim wtulił głowę w poduszkę i poczuł na włosach jej ręce. Dla niej przecież był bohaterem.

ADAM HOLLANEK

(Fragment przygotowywanej do druku po- wieści pod tytułem „Mistrz”).

TADEUSZ KWIATKOWSKI

NIE MA ZABAWY

bez

PANA WŁADZIA

(8)

Ciepłoch przy drzwiach powiedział szeptem. — Jeden kolejarz mówił mi, że ktoś dostał list z Izraela i że widziano tam Rozenblatta. — Rozenblatta? — Mazurkiewicz podniósł brwi zdziwiony. Później uśmiechnął się łapiąc Ciepłocha za guzik od kity. — To dobrze że go widziano — i otworzył szeroko drzwi nie czekając na odpowiedź fryzjera. — Pan Franek czytał „Dziennik Polski”. Na widok ich zerwał się z fotela. Gazetę rzucił pod lustro.

— Już pan odchodzi? — Tak tylko wpadłem do starych przyjaciół.

— Prosimy częściej. Może jakieś strzyżonko. Zawsze do usług.

— Pan Franek fachowym okiem obrzucił fryzurę Mazurkiewicza, który machinalnie przygładził włosy.

— Pan strzyże się u lepszych fryzjerów — powiedział ironicznie Ciepłoch.

— Nigdy nie wiadomo, kto jest lepszy — zauważył pan Franek. — A ja panu mówię — uderzył się w piersi — że z chęcią bym panu pokazał co potrafie. Tęsknię za lepszymi gośćmi. Tu człowiek nie ma żadnego wyzicia. Sami łysi i to emeryci. Bez sztyku.

— Narzekasz pan, panie Franek? — Ciepłoch wsadził ręce do kieszeni spodni wypinając brzuch.

— Nie narzekam. Ale zawsze człowieka ciągnie wyżej.

— Ech, filozof z pana — wzruszył ramionami Ciepłoch. — Nic z tego dobrego nie będzie. On wierzy jeszcze w miłość — rzekł do Mazurkiewicza, aby już zupełnie pognać swego pomocnika.

— Bo szef wszystko chce tylko za pieniądze — bronił się pan Franek — lubię pieniądze, nie przeczę, ale żeby akuratnie miłość.

— Młody pan jesteś, panie Franek — rzekł pobłażliwie Ciepłoch.

— Mazurkiewicz pożegnał się z nimi.

— Uważam, że pan ma rację — powiedział do pana Franka, który zgłębiał się w ukłonie. — Tylko prawdziwa miłość ratuje nas przed tym jadowym życiem.

— Też tak mniemam. — pan Franek był uszczęśliwiony. — A widzi szef że pan inżynier jest za mną. Za mamonę nie wszystko się chyci.

— Ja wiem swoje. — Ciepłoch nie dał się przekonać.

Mazurkiewicz wszedł do Mercedesa. Ciepłoch z pomocnikiem stanęli na progu fryzjerni i obserwowali jak odjeżdża. Młodzieniec w okularach wyskoczył z samochodu z korbą i zaczął rozruszać motor. Pot scikał mu z twarzy, bo słońce grzało nienależycie.

Mazurkiewicz rozpartł wygodnie na siedzeniu czekał aż uczeń upora się z motorem. Wreszcie Mercedes odezwał się i młodzieniec zasiadł za kierownicą.

— Sprzęgło — powiedział beznamiętnie — Mazurkiewicz i prosię pierwszy bieg. — odwrócił się do fryzjerów z miną cierpiennika.

Samochód nie ruszał z miejsca, ale motor zwiększył obroty hucząc przeraźliwie.

— Nogę z gazu i sprzęgło — krzyknął Mazurkiewicz łapiąc się za głowę. Fryzjerzy trącili się łokciami. Tymczasem Mercedes szarpnął do przodu i potoczył się swobodnie. Na zakręcie Mazurkiewicz pokławił im rękę.

— Bidny chłop — powiedział pan Franek chowając się do fryzjerni przed upałem.

— Nie taki bidny, bądź pan pewien, panie Franek — oświadczył Ciepłoch.

— Co to czasy robią z człowieka — ciągnął dalej pan Franek urzeczony Mazurkiewiczem, który przyznał mu słusność w sprawach miłości, o którą toczył ze swym szefem od lat walkę. — żeby taki człowiek musiał męczyć się na tych kursach. On panie szefie stworzony do innych rzeczy.

— Może i stworzony — zgodził się Ciepłoch, ale widocznie dobrze mu z tym skoro nie szuka czego innego.

— Nie łatwo dziś — westchnął pan Franek — eleganckim ludziom nie łatwo. Nawet się zaniedbał. Widać że to ktoś lepszy, a ostrzyżony... — pan Franek pokręcił głową z dezaprobatą — ja bym już wiedział jak go ostrzyż. Tak żeby był ostrzyżony, a żeby nikt nie poznał że ostrzyżony. „W Przekroju” właśnie pisali o tym.

— Za dużo pan filozofujesz, panie Franek — Ciepłoch zdjął kity i poglądził się po nagiej piersi wylazającej mu z rozpiętej koszuli — co znaczy ostrzyżony a nie ostrzyżony. Coś pan nie tego. Grasz pan w liczby?

— Muszę się odegrać, szefie, chociaż panu dzisiaj idzie jak nigdy.

— Gdzie mi tam idzie — Ciepłoch grzebał w kieszeni szukając banknotu.

— Wygrał pan ode mnie ciepłą — rączką osiemset złotych.

— Wczoraj przegrałem czterysta.

— Wczoraj to znaczy nigdy — rzekł pan Franek siadając do gry.

— Ze co?

— Przeczytałem to zdanie. Nie pamiętam już gdzie. Wczoraj to znaczy nigdy.

— Ale o co chodzi?

— Że jak już coś było, odbyło się, to znaczy że nie było. Ot, taka myśl, panie szefie. Nie warto pamiętać tego co było.

— E, robisz się pan niemożliwy. Patrz pan z czego pan żyjesz, panie Franek. Leci setka. Co jest?

— Nieparzyste.

Zaczęli dodawać poszczególne cyfry. Wygrał tym razem pan Franek. Ciepłoch wrzucił mu banknot. Pomocnik chuchnął na setkę, złożył ją starannie i wsadził do kieszonki na zegarek.

Ciepłoch podparł brodę i zamyślił się. Pan Franek czekał spokojnie aż szef znowu się odezwie. Po chwili Ciepłoch potarł czoło i rzekł poważnie.

— Masz pan rację panie Franek, nie warto pamiętać tego co było czy jak to pan powiedziałeś.

— Wczoraj to znaczy nigdy.

— Właśnie. Nigdy. Gramy dalej, panie Franek. Ale zaczekaj pan — fryzjer udał się do ogródka za domem i chwilę laził pomiędzy grządkami pilnie wypatrując czegoś wśród zielonych pędów.

Pan Franek nalał sobie piwa do kufła i myślał tymczasem o swojej przyszłości.

W Europejskiej około godziny szóstej po południu panuje tłok. Przy stolikach szumi od rozmów. Kelnerzy w białych płóciennych marynarkach uwijają się by nadażyć zamówieniom. Starsze tlenione panie o policzkach pokrytych grubymi warstwami różu omawiają wypadki i skandaliki jakie wydarzyły się od ostatniego spotkania. Panowie opowiadają żarty i wybuchaają grubym śmiechem.

W łóż przy oknie siedział Mazurkiewicz nad czarną kawą. Wymienił kilka ukłonów z sąsiednimi stolikami. Uśmiechnął się do

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—E, tam pecna. Noga jestes.

— No, co ja jestem winien, jak klarnet nie przyszedł. Umówił się i nie przyszedł.

— To się idzie do niego.

— A wiem to gdzie mieszka?

— Takiego się nie puszcza z ręki. Wyjeżdża i musi w coś lokować forsz. Nie da tobie, da innemu. Ja przecież nie będę chodził za nim. Ja na tym nie zarabiam.

Dowianek zaklął, przyznając rację Mazurkiewiczowi.

— Byłem tak pewien tego interesu, że nie zapytałem gdzie go łapać.

— Pewnym można być dopiero wtedy jak się ma fiks w kieszeni. Mam cię jeszcze uczyć. Teraz szukaj wiatru w polu.

— Może Bundel będzie wiedział?

— Bundel ma swoje kłopoty. Jak zna adres to sam pójdzie do niego.

Dowianek zaczął łapczywie pożerać lody, które kelner postawił na stoliku. Mazurkiewicz zapalił papierosa. Do dziewczyny dosiadła się koleżanka.

— Są jeszcze babki, których się nie zna — rzekł Mazurkiewicz.

Dowianek spojrzał na dziewczynę.

— To Myszką Bujakówną — ukłonił się tej drugiej, która przed chwilą nadeszła.

— A tamta?

— Znam ją z widzenia. Stale tu wysiaduje. Niezła.

Mazurkiewicz bawił się kluczykiem od samochodu. Do kawiarni wszedł mecenas Koniczyński i zobaczywszy Mazurkiewicza kiwnął mu przyjaźnie ręką. Za nim przeciskał się pomiędzy stolikami Bundel, w popielatej dwurzędowej z flaneli.

— Cześć chłopaki! — przywitał się z nimi i zajął miejsce obok Dowianka. — Co jest?

— Nie gorąco ci? — spytał Dowianek z podziwem patrząc na Bundla, który poprawiał wprawnym ruchem krawat.

— Człowiekowi eleganckiemu nigdy nie jest za gorąco — oświadczył Bundel wyciągając mankiety koszuli.

— Czy znasz adres tego Abycha czy Absicha?

— Przecież widziałeś się z nim wczoraj? — zdziwił się Bundel.

— Co z tego. Potrzeba mi jego adresu.

— Nie znam — odparł bez zastanowienia Bundel rzucając pytające spojrzenie na Mazurkiewicza.

— Puść gościa — wyjaśnił Mazurkiewicz. Bundel klepnął się w czoło i pokiwał głową z ubolewaniem.

— Aleś się sfrajzerzył.

— Nie mów mi nawet. Dałbym sobie łapę uciąć, że przyjdzie. Miał u mnie dobre warunki.

— Widocznie ktoś inny podskoczył — rzekł Bundel. — Zdarza się. Co z tobą Władek? Widzę, że filuzjesz? — odwrócił się za wzrokiem Mazurkiewicza w kierunku dziewcząt.

Dowianek wstał i położył pięć złotych na stoliku.

— Idę. Może go jeszcze gdzie dopadnę. Będziecie tu jutro?

— Jutro jestem zajęty — powiedział Mazurkiewicz.

— Ja też — dodał Bundel.

— Zapłaćcie za mnie. Jak będziecie mieli czas, to przyjdźcie. Jestem tu jutro o szóstej. Poznam cie Władek z tą babką.

Mazurkiewicz roześmiał się.

— Daj spokój. Nie mam czasu na kobiety.

— Boisz się domowych rozmówek? Ale lece. Cześć.

Dowianek wydosłał się z łóż i odszedł.

— Złapałem Asichta — rzekł Bundel.

— Przypuszczałem, że tak będzie — rzekł Mazurkiewicz wypijając ostatek kawy.

— Powiedział mi, że nie ma zaufania do Dowianka.

— Nie dziwił mu się. Nie chce ryzykować. Wpadnie, to koniec z wyjazdem.

— Potrzebuję srebro. Dużo srebra. Swoją drogą po co im tyle srebra. Ciężkie to to i nieporęczne.

— Srebro za granicą ma dużą wartość. Jak byłem w Niemczech, wszyscy pytali mnie przede wszystkim o srebro. Oczywiście w wyrobie.

— Jakbyś wiedział o jakiej zastawie srebrnej, o świecznikach, daj mi cynk. Kupuję.

— Zapytałem jednej mojej znajomej. Coś powinna mieć.

Bundel zatarł ręce. Widać było, że jest zadowolony z transakcji.

— Napijesz się czego konkretnego?

— Nie. Zamówię wodę.

— A jak u ciebie?

— Jak zwykle. Nie widziałeś gdzie ostatnio Goładzkiego?

— Nie. Miał być wczoraj u Falesznego, ale nie przyszedł. Nie było gry.

— Potrzebny mi jest. Nie wiesz przypadkiem gdzie on normalnie bywa.

— Kreśli się po mieście. Lubi tu wdepnąć.

— Szukam go od kilku dni.

— Pewnie wyjechał. Faleszny napomknął mi, że miał na oku jakiś interes i że się gdzieś wybierał.

— Nie powiedział dokąd?

— Nie wiem. Nie pytałem o to Falesznego.

— Żeby tylko nie wpadł.

Bundel machnął lekceważąco ręką.

— On się nie boi bezpieczeństwa. Ma swoje chody.

— Czasem, wiesz jak to jest. Ma się chody, a tu gościa przenoszą do innego miasta i wpadka gotowa.

— Goładzki szczęściarz. Potrafi się wykaskać.

— Gdybyś go widział, powiedz mu, żeby się ze mną czymś przedzielił.

— Dobrze. Powiem mu.

Mazurkiewicz spojrzał na zegarek.

— Spieszysz się?

— Idę do teatru.

— Na taki upał?

— Dzisiaj premiera. Później nie będę miał czasu.

— Trzeba się bądnąć też kiedyś wypruć. Nie byłem w teatrze ze dwa lata. Grają co ciekawego?

— Krol i aktor. Brandstaettera.

— Ale o czym? Komedia?

— O Bogusławskim.

— Bogusławski? Nie wiem co to za jeden.

— Aktor.

— I chce ci się iść? Nie wygląda mi to na komedię. To pewnie jeszcze polska sztuka?

— Mazurkiewicz uśmiechnął się pobłażliwie.

— Brandstaetter to dobry autor. Był może na Rembrandcie?

— Nie chodzę teraz do teatru. Mam dość propagandy na codzień.

— A ja odpoczywam w teatrze. Przyznam ci się, że to jest moja jedyna rozrywka.

— Żeby grali jeszcze jaką operetkę, to rozumieć. Muzyka, śpiewy, ale oni wystawiają tylko poważne sztuki. Im się wydaje że poważne, a w rzeczywistości lipa.

Mazurkiewicz rzekł z poczuciem wyższości.

— Nie możesz tak mówić, bo nie chodzisz do teatru. Powiadam ci, że nieźle sztuki warto obejrzeć. Byłeś na Zemście?

— W szkole przed wojną. — zaśmiał się Bundel. — Dawali mi na to bilety ale nie poszedłem. Wole pogrążyć w kręgle w Woli.

— No to żegnaj — Mazurkiewicz wyciągnął rękę do Bundla — w sam raz zdąży. Panie Kaziu, płacę.

Kelner obliczył należność, wydał resztę ze setki i ukłonił się z poważaniem.

Bundel przesiadł się na miejsce Mazurkiewicza i zaczął obserwować ludzi na sali.

Po dwóch obrazach była przerwa i Mazurkiewicz z Jolką Kwasiburską wyszli do foyer na pierwszym piętrze. Do bufetu trudno się było docisnąć więc musieli się zadowolić wypaleniem papierosa. Stanęli pod portretem Modrzejewskiej. Ludzie omawiali przedstawienie, sprzecząc się o szczegóły historyczne.

— No, jak ci się podoba? — spytał Mazurkiewicz podając ogień Jolce.

— Wydaje mi się że dobre. Krzyski mi się podoba. Jest prawdziwie królewski. Tak sobie wyobrażałam króla Stasia.

— Widziałem go ostatnio w roli Papkina. Wolę go jednak tutaj.

— Podobają mi się stroje. Żałuję że nie chodzimy dzisiaj w czymś takim. Dobrze by ci było w takim ubranku.

Mazurkiewicz dotknął delikatnie jej ręki.

— A teraz ci się nie podobam?

Jolka puściła kłęb dymu zwlekając z odpowiedzią.

Mazurkiewicz roześmiał się nieco urażony.

— Tak, nie wszystkim się podobam.

Jolka spojrzała mu bystro w oczy. Zniżyła głos do szeptu.

— Ty mi się nie podobasz. Ty tylko masz w sobie coś co mi się podoba. Tę jakąś nieuchwytną męską tajemniczość. To mnie podciąga.

— Jolka! — powiedział Mazurkiewicz przy mykając powieki.

Zmieniła temat.

— Wiesz lubię Mrożewskiego. To taki ciepły, przekonujący aktor. Pamiętam go jeszcze sprzed wojny. Grał w sztuce „Jan”. Widziałam w tej roli austriackiego aktora Hansa Jaraya. Daję ci słowo, że wołałam Mrożewskiego.

— Byłaś w Austrii?

— Nie, on grał w Krakowie. Znałam go z filmu, ale rozczerowałam się. Niski, niezgrabny. W filmie wyglądał zupełnie inaczej.

Mazurkiewicz pochylił głowę w ukłonie. Dwie kobiety, pretensjonalnie ubrane odkłoniły mu się z godnością. Jolka usłyszała w przełocie że jedna wymówiła głośno nazwisko jej towarzysza.

— Cóż to za osoby? — zapytała bez zainteresowania.

— Moja sąsiadka i jej znajoma. — odpowiedział Mazurkiewicz.

— Ach, czy to ta, której mąż zaginał?

— Tak. Zaginał? — Mazurkiewicz wzruszył ramionami. — Jestem przekonany że albo zwiął zagranicę albo...

— Bezpieka?

Mazurkiewicz przybliżył się do Jolki i powiedział jej prawie do ucha.

— W każdym razie nie odpowiedzieli na liczne interpelacje.

— Ech — westchnęła Jolka — człowiek dzisiaj nie jest pewien ani dnia ani godziny.

— Przetrzymamy to — rzekł Mazurkiewicz ujmując Jolkę pod rękę. — Nie martw się. Chodź, spróbujemy dopchać się do bufetu. Napiłbym się oranżady.

Podeszli bliżej bufetu. Jolka usunęła się nieco na bok, Mazurkiewicz stanął w ogonku i przepychał się w kierunku lady. Jolka patrzyła na jego szerokie plecy. Był niski, lecz dobrze zbudowany. Miał wiele wdzięku. Każdy jego ruch był harmonijny choć energiczny i prosty. Nawet teraz gdy stał odwrócony do niej tyłem, czuło się w nim człowieka, któremu można było zawierzyć swe uczucia. Jolka obserwowała go z pewną tkliwością. To był przecież mężczyzna, który ostatnio należał do niej, poświęcał jej wiele czasu i dawał jej pełną radość życia.

Zgasła papierosa w ogromnej popielniczce.

— Mój Boże — pomyślała — jak łatwo zgubić i odnaleźć szczęście. Jej pierwszy mąż Roman wydawał się jej kiedyś ideałem współczesnego mężczyzny. Później rozczarowała się do niego. Wysiadywanie całymi tygodniami w domu nie odpowiadało jej. Żal jej było uciekających bezpowrotnie dni młodości. Rozeszli się w zgodzie. Sądziła że zgubiła szczęście. I teraz Władek. Nie myślała o nim jako o swoim przyszłym mężu. Małżeństwo już nie pociągało ją. Jeśli już wyszło za mąż, to za milionera. Sprzedać się, to oczywiście za dobrą cenę. Władek nie był bogaty. Wiedziała o tym dobrze.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Według GROSZA

młodej dziewczyny, którą spotykał tu od kilku dni. Udała że go nie dostrzega, ale wiedział że interesuje się nim, gdyż wczoraj wypływała o niego koleżankę, którą przypadkowo kiedyś poznał. Dziewczyna była ładna i Mazurkiewicz postanowił przy lada okazji przysiąść się do jej stolika, pod jakimkolwiek pozorem. Dzisiaj nie miał czasu, ale wiedział że jutro dziewczyna będzie czekać na tym samym miejscu.

Tymczasem nadszedł Dowianek i ciężko opadł na kanapkę.